

# Wirtuoz ciszy

**Mirosław Kuleba**

---

Idą konie, podkowy o bruk, ta – ta – ta – ta, podkowy, kopyta, koło turkocze żelazną obręczą o bruk, ta – ta – ta – ta, mglisty ranek, ranny chłód, żelazne podkowy, koła, karabin maszynowy, ta – ta – ta – ta, ta – ta – ta – ta, czarne konie, łomocą koła, jedzie karawan, śmierć jedzie we mgle. Mgła.

Ciekaw byłem, kiedy usłyszał ten natrętny stukot, powracający uparcie, takt po takcie, takt po takcie, monotony jak łoskot wagonów na szynach, niemuzyczny, niczym z wnętrza groźnej maszyny. I jakiś koślawy, nierówny, zachwiany jak kilka ostatnich kroków w ciszę, i nieuchronny jak szereg ostatnich dni. Nikt przed nim nie napisał takiej muzyki na jednej nucie, zwielokrotnionej w hipnotycznym staccato. Może w ten sposób chciał wyrazić dramatyczną ubogość naszych ludzkich możliwości i wyborów, więc z całego bogactwa dźwięków pozostawił tylko ten jeden. I kiedy wydaje się, że już na pewno ten dręczący motyw znajdzie jakieś ujście, wybrzmi i zniknie, powraca jeszcze raz i jeszcze ta sama dokładnie odmierzona nuta, jakby się z nami droczył: nic nie jest tak, jak chcemy, spada na nas nieznany los. Więc ten budzący trwogę dźwięk powraca i powraca, aż w końcu opada żalobnym półtonem w jeszcze większą pustkę. Już nie ma złudzeń: to ostatnia droga. „Jak stukanie do wrót wieczności” – mógłby powiedzieć Ernst Jünger, gdyby usłyszał tę jego muzykę. Nigdy jednak to nie nastąpiło. Mogli do siebie tylko strzelać.

\* \* \*

Stanęli przeciwko sobie w wilgotnych okopach zimy 1919 roku, oddzielonych linią powstańczego frontu. Z jednej strony mieliśmy młodego ochotnika freikorpsów, wielokrotnie rannego weterana wojny światowej, dowódcę oddziałów szturmowych od-

znaczono, jako ostatni żołnierz tej wojny, najwyższym pruskim orderem wojennym Pour le Mérite, piewcę wojny, Ernsta Jüngera, rocznik 1895. Z drugiej – ochotnika powstańczego wojska wielkopolskiego, kompozytora i filozofa Romana Mazurkiewicza, rocznik 1887. Jünger, zanim również został filozofem i niepokojącym estetą, pielęgnującym w ciemnych zakamarkach wyobraźni makabryczne koncepcje, pokochał wojnę. Mazurkiewicz wojny nigdy nie polubił, chociaż był żołnierzem.

Co do tajemniczej istoty tego spotkania, to należałoby opatrzyć ją pewnym zastrzeżeniem. W papierach, jakie pozostawił po sobie Mazurkiewicz, zapodziało się gdzieś nazwisko młodzieńca w mundurze Reichswehry, którego spotkał po raz pierwszy pewnego wieczoru w Berlinie, przed laty. Wracając skądś późną porą – może z próby chóru, który prowadził w Spandau, może z koncertu berlińskich filharmoników, może z uniwersyteckiej biblioteki – Mazurkiewicz zobaczył na ulicy podchmielonego młodego wojskowego, któremu drzwi wejściowe do domu stały niespodziewany opór. Pomógł mu sforsować przeszkodę, być może zaprowadził go też do mieszkania – trzeba przecież było otworzyć jeszcze jeden zamek. Nie wiadomo, czy nawiązana wtedy znajomość przerodziła się w jakieś bliższe kontakty.

Człowiek ten pojawia się znowu w chwili najcięższej, zimą 1919 roku. Wziętego do niewoli powstańca Mazurkiewicza grenschutze prowadzą z więzienia w Pile na egzekucję. Tym razem anioł Opatrzności nosi mundur ochotnika z korpusu Roßbacha. Młody leutnant z Żelaznym Krzyżem 1. klasy na piersi rozpoznaje człowieka – kompozytora, chórmistrza, filozofa z czterema fakultetami, to musiało robić wrażenie – któremu kiedyś na berlińskiej ulicy oddał klucz od swoich drzwi.

Czasem taki klucz przypadkiem otwiera serce. Zamiast pod mur na rozstrzelanie, Mazurkiewicz pomaszerował do domu.

Nawet jeśli to jego spotkanie z Jüngerem poddać w wątpliwość, pozostawić w kategorii hipotez – to w świecie idei bezpośrednie zdenerowanie ich postaw było oczywiste i nieuniknione. Byli i pozostali na zawsze wrogami. Tylko że wtedy, gdy konflikt przybrał postać najbardziej realną, kiedy jeden celował z karabinu do drugiego, złączyła ich wspólnota innego rządu. Losy tych dwóch ludzi spłoty się węzłem równie mocnym jak historia obu narodów, Polaków i Niemców. Jakby każdy z nich skupił w sobie to wszystko, co u drugiego znalazło swoją antytezę. To, co odpychało, miało jednak równocześnie wielką moc przyciągania. „Walczące narody poprzez walkę stają się magiczną jednością, a w wyższym wymiarze zanika sprzeczność celów” – ująłby to Jünger.

Tamtego Niemca po drugiej stronie zaśniedziałego pola wojna upajała ciosami siekier. Była dla niego wielką i straszną rozkoszą tych czasów. Walka stała się najważniejszym przeżyciem wewnętrznym, jakie wyniósł ze swej młodości. Uważał ją za jedną z praform życia. Szukał w niej wiecznego sensu, którego nie przemoże żadna sztuka kalkulacji.

„Nigdzie nie żyłem tak beztrosko jak na froncie... W obliczu śmierci każdy problem staje się przyjemnie nieistotny” – notował w karczowanym przez ciężką artylerię lasku numer 125. (Tymi słowami kiedyś mnie zwiódł, i wspominałem je w karczowanej przez rosyjską artylerię kępie ałyczy na stoku góry Rozenkort ponad aulem Baszin-kale, na szatojskim froncie, w górach Czeczenii, gdzie miałem swoje stanowisko snajperskie – które Rosjanie wykryli i ostrzelali pewnego dnia. Czyż jednak zdobyłem się wtedy na jego nonszalanecję i ten dandyzm śmierci, którym przesycił swoje pisma? O nie, przez całe czterdzieści pięć minut, kiedy kępę rachitycznych ałyczy siekało w drzazgi kilka czołgów i ciężkich moździerzów pułkowych, których szesnastokilogramowe granaty sypały się z nieba z potępieńczym rykiem, skoncentrowałem się, z bolesnym napięciem wszystkich zmysłów,

na wyczekiwaniu chwili ostatniej, którą zdołałem jeszcze ogarnąć świadomością. Nie było mowy o prowadzeniu notatek; leżałem na dnie płytkiego schronu, wyrytego w kamienistej glinie własnymi rękami parę dni wcześniej, i przyciskałem do piersi mojego Dragunowa kaliber 7,62, pełen obawy, że rozpalony podmuch któregoś z bliskich wybuchów, wdzierający się co chwilę do tego ukrycia, porwie ze sobą mój karabin i umrę bezbronny. Jest więc może trochę artystycznej stylizacji i sprzeniewierzenia się surowej prawdzie okopów – a mówię to wspominając owe trzy kwadransy na grzbiecie Kaukazu, pod Szatojem, kiedy pożegnałem się z życiem – w obrazie tego dzielnego niemieckiego żołnierza, który śmieje się radośnie wchłaniając pełną piersią gęstniejący ogień francuskiej artylerii w lasku numer 125. A może to zresztą tylko kwestia intensywności ostrzału; Jünger nigdy nie zakosztował realiów Czeczenii, której wielkość odpowiada w przybliżeniu terytorium pola bitwy pod Verdun). Dla niego wojna stanie się najwyższą miarą dzielności i męskiego charakteru, będzie się zachwycać rozległymi rzutami nowoczesnych bitew. Już odkrył rozkosz krwi zawieszoną nad polem bitwy, gdzie umierają w błocie ranni – jedynie miłość wyda mu się, ze względu na swą dynamikę, pokrewna z tym uczuciem. Wkrótce z krwawego zgiełku wyłowi mistyczny sens: „Święty i wojownik są reprezentantami najwyższego człowieczeństwa – pierwszy przez cierpienie, drugi poprzez walkę, obaj zdolni są do przypieczętowania swojej idei ofiarniczą śmiercią, będącą równocześnie przejawem najgłębszej i najsilniejszej afirmacji życia”. W śmierci i zniszczeniu dostrzeże niemal nową religię, wartości absolutne dostępne tylko wojownikom i świętym, roztańczające blask nad krwią pól bitewnych i głowami ukrzyżowanych. Upłynie jeszcze niewiele lat i żelazna nawała znów ruszy przez Europę, jakby dla spełnienia jego beztroskiej przepowiedni: „Subtelna technika podniesie zniszczenie do rangi wielkiej sztuki”. Zdąży jeszcze, jadąc konno na czele triumfujących oddziałów, poprowadzić defiladę niemieckich wojsk maszerujących w Paryżu przed Hitle-

rem, zanim przyjdzie otrzeźwienie. Kiedy zrozumie, że tajemne Niemcy, tę wieczną utopię zawieszoną w sferze metafizycznych strategii, ową „duchową rzeczywistość spoczywającą w wieczności” – należy na razie zachować tylko dla siebie.



Jego przeciwnik z drugiej strony frontu daleki był od rozkoszowania się okopem, miłym niemieckiemu sercu jak „trumienny wrak”. W szeregach wojsk powstańczych pojawił się niezgrabny, niemal dwumetrowy okularnik, nowe wcielenie Pierre Bezuchowa, który od lat poszukiwał w muzyce – jedynej sferze twórczości człowieka, która jest wieczna i niezniszczalna – odpowiedzi na odwieczne pytania filozofii. W tym, co mówił potem o wojnie, nie sposób doszukać się mistycyzmu krwi czy militarystycznego obłędu bijącego z wczesnych pism Jüngera. „Poszliśmy w bój spontanicznie – stwierdza po prostu Mazurkiewicz, oderwany nagle kanonadą od fortepianu.

– Niemal z gołymi pięściami porwaliśmy się na wroga uzbrojonego po zęby”. Siłą, która powstańców pobudza do czynu, jest duch patriotyczny. To słowo nie pada w wojennych pracach Jüngera. On pisze o narodzie i nowym niemieckim nacjonalizmie, który prowadzi do totalnej negacji istniejącego systemu politycznego świata, nie chce poszanowania mas ale osobowości i charakteru, jest elitarnym, duchowym ruchem ludzi ponad wszystko przedkładających dobro narodu. Ludzkość oznacza dla niego tylko przynależność do określonego gatunku ssaków.

Mazurkiewicz, jak sam później napisze, walczył o dobro ojczyzny, chwycił za broń „w trosce o nasze rodziny, o młodzież naszą”. Tam gdzie Jünger upaja się „straszynami i rozkosznymi robotami strzelniczymi”, Mazurkiewicz widzi groźbę wypadków wojennych, morderczą pożogę, zagładę ludzkości. „Dlatego wojny nie chcemy”, zdaje się odpowiadać Jüngerowi, dziarsko trąbiącemu na apel.

Czy jest w takiej postawie brak ducha walki, którym się tak zachwyca w swoich ziomkach Jünger? Bynajmniej. Powstańcy wielkopolscy porwali się na trzykrotnie liczniejsze, doskonale uzbrojone wojska niemieckie, wyszkolone w czteroletnich zmaganiach na frontach wojny światowej. „Naszą bronią był prawdziwie polski i przepotężny duch odwagi i męstwa, ożywiony pewnością odzyskania wolności dla ziemi ojczystej – opowiadał Mazurkiewicz. – Dziwne to było wojsko ci powstańcy, zapewne najdziwniejsze, jakie kiedykolwiek powstało na ziemiach polskich. 80 do 90 procent oddziałów powstańczych stanowili ochotnicy – robotnicy, chłopi, rzemieślnicy i starsza młodzież szkolna. Stawiło się całe społeczeństwo bez względu na pochodzenie i wiek, stanął biedny i bogaty. Zasadniczą podstawą tego wojska nazwać można starych żołnierzy wielkiej wojny światowej, wśród których nie było prawie ani jednego, któryby nie był ranny na froncie zachodnim czy wschodnim. Przez ponad cztery lata wojny stali się doświadczonymi fachowcami bojowo wyspecjalizowanymi, przeszli zaprawę nędzy, głodu i stałego zagrożenia kalectwem i śmiercią.

Byli to ludzie prości, chłopcy ze wsi, nikt ich nie uczył urzędowego patriotyzmu na pokaz, nie znali się na polityce, niektórzy nawet zatręcali nieco po polsku, przebywając przez długie lata na obczyźnie. Zagubieni w pruskich pułkach byli szczęśliwi, gdy mogli wrócić do domu, do ojczyzny, na swoją ziemię i być nareszcie znów wolnymi obywatelami”.

W takim właśnie oddziale składającym się z około sześćdziesięciu ludzi, wyekwipowanych jak na maskaradę, znalazł się na początku stycznia 1919 r. na powstańczym froncie północnym Roman Mazurkiewicz. Przy pomocy średniowiecznych halabard, oszczerpów myśliwskich i skałkowych rusznic powstańcy zdobyli szturmem Chodzież, gdzie dopiero zaopatrzyli się w broń i amunicję. Teraz mieli na stanie jeden ciężki i dwa lekkie karabiny maszynowe, około 60 karabinów i jedno 75-milimetrowe działko polowe.

„To działko stanowiło całą naszą „artylerię” w początkach stycznia na odcinku Chodzież – Radwonki – Margonin – Lipiny i odegrało ważną rolę w działaniach na kierunku Próchnowa – wspominał. – Niemcy posiadali w Szamocinie doskonale zorganizowaną artylerię i razili ogniem nasze placówki między innymi także w Margonińskiej Wsi, wyrządzając nam poważne straty i dufając w to, że przecież my nie byliśmy w stanie odpłacić im wet za wet, bo nie posiadaliśmy artylerii. Nie odniosły skutku kilkakrotne nasze groźby, zanesione Niemcom przez naszych parlamentarzysty, a żądające zaprzestania ognia, w przeciwnym bowiem razie my rozpoczniemy bombardować miasto Szamocin. Ale Niemcy kpili sobie z naszych pogroźek, i kiedy pewnego dnia celny ich pocisk rozwalił wiatrak opodal naszych stanowisk, po naradzie postanowiliśmy jednak zareagować. Cała nasza „artyleria” składała się z wspomnianej jedynej armatki oraz jednego do niej ładunku. Artylerzysty nie było po naszej stronie żadnego. Mimo to zabraliśmy się do rychtowania działa, a było nas trzech: podporucznik z pruskiej formacji kwatermistrzowskiej, sierżant taborów i ja jako cywil-ochotnik. Gdy po długim nastawianiu wreszcie zagrzmiął wystrzał, wszyscy trzej *kanonierzy* – bohaterowie leżeliśmy na ziemi,

i szczęście, że nie było świadków tej naszej czynności balistycznej. I nagle zamilkła artyleria niemiecka, a po mniej więcej godzinie od lasu zbliżało się ku nam trzech parlamentarzysty niemieckich i wymachując białą płachtą i zielonymi gałęziami z daleka już wołali: *halt, halt, Feuer einstellen!*

Okazało się, że nasz granat wpadł do domu policjanta miejskiego w Szamocinie ścieląc ofiary i burząc częściowo dom. Nie potrzebuję chyba dodawać, jak dumnie chełpiliśmy się wobec Niemców, podobnie jak Zagłoba w Zamościu, obłożonym przez Szwedów”.

Mazurkiewicz podkreśla demokratyczny i ludowy charakter powstańczego wojska. Dla Jüngera demokracja to spisek przeciwko państwu i narodowi, to władza miernot i politycznych szarlatanów. „Należy życzyć sobie, aby nadszedł dzień, w którym cały ten motłoch do kości zostanie wyżarty przez chlor”. Już wkrótce zapłonie Reichstag.

W istocie, w tym co Jünger znalazł w wojnie nie było nic oryginalnego – skoro odkrywał tylko to, co od wieków pobudzało teutońskich wojowników do gwałtów na bliższych i dalszych sąsiadach, a już wkrótce miało pchnąć milionowe masy niemieckiego żołdactwa do nowego światowego kataklizmu. Zaś realnym uczuciem, które przebija się przez te wszystkie frazesy o wojnie, zrywającej rzekomo z człowieka wszelki frazes i umowność, jest nieklamany zachwyt nad własnym męstwem myśliciela.

W Wielkopolsce roku 1919 niemiecki duch musiał ustąpić przed polskim. Nawet Jüngerowi przyszło odtrąbić odwrot. „To, w imię czego umierają mężczyźni, nigdy nie jest bezsensowne. Nawet klęska ma swój sens”.

\* \* \*

Nie wiadomo, kiedy pisał swoją pierwszą symfonię. Pewnie tworzył tę muzykę przez wiele lat, nim w 1933 roku postawił ostatnią nutę. Symfonię c-moll nazwał „Tragiczną”. Można się domyślać, że jej geneza sięgała lat Wielkiej Wojny Światowej, która jeszcze wtedy wydawała się niewyobrażalnym kataklizmem, największym jaki mógł spaść na całą

ludzkość. Piece Auschwitzu miały zadymić dopiero po latach, uruchomione przez kulturträgerów, wielbicieli Wagnera i Richarda Straussa. W jego życiu ani przedtem, w latach intensywnej nauki uniwersyteckiej, ani później, gdy podjął nowe studia muzyczne, nie było pewnie traumy większej niż tamta wojna. Z niej musiał czerpać dramatyczną muzykę swoich wczesnych utworów. Zresztą, całość swojej muzyki.

W owym czasie Jünger oddawał się ekskluzywnej anarchii estety, cyzelował wojenne klimaty swoich opowieści o wojownikach-arystokratach, sącząc poezję i mistycyzm w teorię sztuki walki Carla von Clausewitza i przekuwając w metafizykę ideę błyskawicznych, zwycięskich wojen feldmarszałka von Moltkego. Bez wątplenia, te najwyższe uniesienia pruskiego militarysty, podszyte przewrotnym, złowieszczym erotyzmem czasu totalnej zagłady, przyciągnęły uwagę innego mistyka i artysty wojny, niedoszłego mistrza wiedeńskiego pejzażu i niedoszłego władcy świata. Korespondowali ze sobą. W chwilach wolnych od pisania Jünger tworzył gigantyczną kolekcję chrząszczy, których upolował i otrul arsenikiem jakieś dwadzieścia tysięcy. Badał pod lupą znamiona życiodajnej siły na płatkach orchidei rosnących w podberlińskim Steglitz i rozmyślał o smaku pewnego gatunku fioletowych endywii, sprzedawanych w tajemnych sklepach do potraw z ludzkiego mięsa.

Mazurkiewicz komponował i publikował w poznańskim Wydawnictwie Muzycznym „Surma”, które sam założył, kolejne opusy. Niewiele z nich przetrwało zawieruchę kolejnej wojny, szykowanej już przez wielbicieli prozy Jüngera. Zachował się kwartet smyczkowy d-moll, op. 14, kwartet smyczkowy A-dur, op. 15, requiem na chóry, solo i organy, op. 18, sonata fortepianowa op. 22, cztery pieśni na sopran i tenor solo z towarzyszeniem fortepianu z opusu 5 – „poświęcone Żonie Ukochanej”, szereg utworów na chór męski a capella z opusu 9.

Pisał symfonie, kolejne pieśni i kwartety, ale całą skrywaną prawdę o jego wielkim, nieziszczalnym marzeniu, ujawnił napisany

w 1931 roku „Hymn do Muzyki” na wielki chór mieszany a capella op.4, nr 1. Słowa też sam napisał.

„O Muzyko! Ty święty przybytku świata, przed tronem twoim kłękają mistrzowie” – rozpoczynają razem podniosłe *larghetto* sopran, alty, tenory i basy, aby po szeregu wspólnych, zgodnych fraz rozejść się nagle w polifonicznym chaosie, brzmącym łaodem wyższego rzędu – kiedy już alty i sopran ślą swe modły osobno, osobno tenory i osobno basy swe modły ślą – swe modły ślą; składając ręce przed tobą kłęczą mistrzowie – zaklinają Muzykę sopran, kłęczą mistrzowie – wtórują alty, składając ręce – dodają tenory, ręce swe modły – basują basy, do ciebie modły, swe modły ślą, swe modły ślą, aż spotykają się w końcu wszyscy razem, gdy lauru gałązki, lauru gałązki zielone, zielone, zwieńczą skroń.

O ten zielony laur modlił się całe życie.

\* \* \*

Pracę doktorską z muzykologii napisał o najstarszych polskich kancjonałach Jana Seklucjana. Urodzony około 1505 roku, Seklucjan w 1536 rozpoczął studia na uniwersytecie w Lipsku, gdzie zdobył stopień bakałarza *liberum artium*. Do Poznania powrócił już jako luteranin. Kiedy rozpoczął organizowanie pierwszej gminy protestanckiej, skupił na sobie gniew katolickiego duchowieństwa, które mu wytoczyło proces o kacerstwo. Skazany na śmierć, zbiegł do Królewca, gdzie oddał się pod opiekę pruskiego księcia Albrechta Hohenzollerna. W tych czasach pieśni kościelne zbierano w tak zwanych kancjonałach, które przepisywano ręcznie, przez co były bardzo kosztowne. Dopiero Seklucjan, wydając kancjonały drukiem, przyczynił się do rozpowszechnienia ewangelickiej pieśni nabożnej wśród ludu.

Co skłoniło Mazurkiewicza do mozolnych studiów nad polską kościelną pieśnią jednogłosową epoki Renesansu? Niezbyt to efektowna muzyczna materia, plon pracy nie wróżył profitów ani sławy. Było więc może w tym jego oddaleniu od ziemskich spraw przecucie złowieszczej paraleli losu kacerza

z jego własnym losem, który miał go doścignąć i złamać po niespełna dwóch dziesiątkach lat – kiedy sam stanie się wygnańcem, banitą, napiętnowanym. Zdradza to przejmujący fragment traktatu, w którym autor zdaje się pisać o samym sobie: „Możliwe, że ta ostatnia pieśń, Pieśń o Dniu Sądny, powstała pod świeżym jeszcze wrażeniem niedawnych przeżyć poznańskich, które zmusiły Seklucjana do uciezki i szukania azylu w Prusach. Prześladowania, sąd duchowny, a wreszcie wyrok skazujący go na śmierć – niewątpliwie wstrząsnęły do głębi psychiką polskiego reformatora, nie dziw więc, że ból swej znękanej duszy wyraził nie tylko w tekście, lecz również w swoiście przemawiającej melodii”.

Wysoko oceniony przez znawców, traktat „O melodiach kancjonałów Jana Seklucjana z 1547 i 1559 roku. Przyczynek do dziejów chorału protestanckiego w Polsce” został wydany przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne w Krakowie, w roku 1967. Nakład 292 egzemplarzy był zapewne niższy, niż nakład XVI-wiecznych kancjonałów Seklucjana. Przeglądając dzisiaj to dzieło, świadectwo benedyktyńskiej pilności, pełne najwyższej erudycji, archaicznych notacji, neumów – zastanawiałem się, czy miało choćby jednego czytelnika poza samym autorem. Nawet recenzent nie znalazł w sobie sił, aby przekonać czytelnika, że znalazł w sobie tę pasję, która pchnęła Mazurkiewicza do wieloletnich studiów nad dawno zapomnianą muzyką.

Nie miał zmysłu praktycznego, pogrążył się w swoich pasjach bez reszty. „Ojciec powinien być zakonnikiem, wtedy mógłby bez żadnych przeszkód prowadzić swoje badania” – uważa córka, Zdzisława. Szczęśliwym trafem spotkał kobietę, dużo od siebie młodszą, z którą związał się małżeństwem. Kiedy trzeba było rodzinie zapewnić utrzymanie, zrezygnował ze stanowiska asystenta muzykologii na Uniwersytecie Poznańskim. Znow mu się powiodło – jego wysokie kwalifikacje zostały docenione, w 1933 roku uzyskał stanowisko burmistrza w Lwówku koło Nowego Tomyśla, a następnie, w latach 1935-1939, w Grodzisku Wielkopolskim. Gdyby nie wybuch wojny, zostałby pewnie wysokim

urzędnikiem w administracji rządowej, człowiekiem zamożnym, który w wolnych chwilach oddaje się muzyce, komponując utwory kameralne i pieśni. Lecz nigdy nie opuszczało go przecucie innego losu, kataklizmów i klęsk, ściągniętych przez nieznaną moc. „Śpiewałaś piosenkę smętną, tak smętną pieśń jak łza” – komponuje do własnych słów jedną



z pieśni dedykowanych w roku 1931 swojej świeżo poślubionej żonie. Nawet ojczyzna, już przecie wolna, w jego pieśniach ciągle przyjmuje ciosy: „O Polsko, Męczennico, o kraju chmur i burz! Rycerskich cnót skarbnico”. „Ojciec nie pisał nic wesołego – wspomina Zdzisława. – Wszędzie bemole. Wesołe są krzyżyki, lecz tych jest bardzo mało”.

\* \* \*

Nadszedł dzień, kiedy wielka historia upomniała się o dwóch dawnych przeciwników z wielkopolskiego frontu, połączonych mistycznym węzłem. Dla Jüngera dzień ten zwiastował wojownik ze stalowej burzy odziany w mundur Wehrmachtu, nosiciel idei tajemnych Niemiec, owej duchowej rzeczywistości, która lęgnie się i trwa w wieczności,

a której odległym, coraz mniej doskonałym odbiciem stawała się III Rzesza. Dla Mazurkiewicza, znów oderwanego od klawiatury niemieckimi bombami, była to chwila powrotu koszarnej zmory niemieckiej i odwiecznego wroga – nienawistnego prusactwa Hohenzollernów i junkrów, ziszczenia się największego kataklizmu w dziejach ludzkości, sprowadzonego na świat przez oszalałe z pychy hitlerowskie Niemcy. Ten właśnie dzień zdawał się przepowiadać w swojej „Symfonii tragicznej” c-mol.



Niemcy zaczęli poszukiwać Mazurkiewicza natychmiast po wybuchu wojny. Zdążył uciec przed gestapo do Krakowa, gdzie się ukrywał. Nie miał złudzeń: Niemcy nigdy nie zapominają. Powstańcy wielkopolscy, przeciwnicy sprzed dwudziestu lat, tłumnie trafiali do więzień i obozów koncentracyjnych, ginęli w ulicznych egzekucjach. Już 20 października 1939 r. w Kórniku rozstrzelano czterech z nich, 21 października w Lesznie – kolejnych siedmiu. W Buchenwaldzie zamordowano Tadeusza Fenrycha, dowódcę powstania na froncie północnym.

Wyjeżdżając, chciał zabrać ze sobą brata Karola, proboszcza w kościele na poznańskiej Malcie, któremu zadedykował swój „Hymn do Muzyki”. Brat pozostał jednak w Poznaniu, przekonany, że Niemcy księży nie będą ruszać. Obaj wychowali się na Goethem, Schillerze, Bachu, jeszcze żyły złudzenia co do intencji i metod nazizmu. Po tygodniu już go nie było. Zginął w Dachau.

Nie mogąc dopaść grodzkiego burmistrza, gestapo aresztowało całą jego rodzinę. Trafili – żona, trójka dzieci, teściowa – do przejściowego obozu koncentracyjnego w Konstancynie pod Łodzią. Teściowej, staruszki w podeszłym wieku, nie chcieli aresztować, ale nie miała co ze sobą zrobić, więc pojechała ze wszystkimi. Zmarła za drutami. Pozostałych udało się wyciągnąć na wolność, to był dopiero początek wojny, maszynka do mięsa nie pracowała jeszcze z pełną niemiecką precyzją.

\* \* \*

Przez całe życie był nieprzejednany i do końca wytykał Niemcom, że ponoszą winę za wszystkie nasze narodowe katastrofy, będąc od wieków mącicielami pokoju w Polsce, Europie i na całym świecie. A przecież ten esteta wychowany w poczuciu pruskiego porządku i obowiązku, wykarmiony na filozofii kwitnącej u zarania wieku w niemieckich uniwersytetach i na muzyce płynącej z berlińskich konserwatoriów, nie mógł przyjąć jako własnej kultury przyniesionej ze Wschodu przez hordy najeźdźców. Dyktatura ciemniaków od razu dostrzegła w nim wroga klasowego, którego należy rozdeptać. Zanim cokolwiek zdążył zrobić dla Polski Ludowej, już siedział w więzieniu.

W lipcu 1945 roku przyjechał do Zielonej Góry. Objął stanowisko zastępcy Pełnomocnika Rządu, zamieszkał z rodziną w pięknej willi przy ulicy Sienkiewicza. Do nowego, dwustumetrowego mieszkania sprowadził z Grodziska swoje piękne meble gdańskie, kupowane jeszcze przed wojną, antyki, bogaty księgozbiór. W składzie z ponemieckimi meblami przy ul. Wrocławskiej kupił fortepian Blüttnera. Po pracy pielęgnował sad, rosnący na skraju parku otaczającego willę, na skarpie ponad sadem założył winnicę. Komponował pieśni kościelne, pisał pieśni dla robotniczych chórów, w zielonogórskich kościołach grał na organach do mszy. Z tego krótkiego, szczęśliwego okresu pochodzą utwory na chór mieszany a capella zebrane w opusie szesnastym: pieśń „Domine, non sum dignus”,

„Hymn Ziemi Lubuskiej” do słów robotnika z Zastalu, Piotra Kłucińskiego, pieśni do poezji Adama Asnyka i Tadeusza Kubiaka, „Słowik” do wiersza Władysława Broniewskiego, ale i sztandarowy wytwór lokalnego socrealizmu wokalnego – „Hejnał robotników Zastalu”, tryskający energią i gorliwością nowych czasów (autor słów, niestety, nieznanymi):

*Więc warczą koła, więc biją młotki,  
Ramię nabiera tężyzny,  
Rażno kroczymy w imię Nowotki  
Przyszłość wykuwać Ojczyzny!”*

Idylla nie trwała długo. W pierwszym zielonogórskim procesie politycznym po wojnie, w roku 1947, wicestarosta powiatowy Mazurkiewicz zasiadł na ławie oskarżonych razem ze starostą Janem Klementowskim. Pretekstem stały się wydarzenia związane z ostatnią falą masowych wysiedleń Niemców. Mazurkiewicz, z racji znajomości języka i lokalnych realiów, weryfikował tych, którzy podawali się za autochtonów i pragnęli pozostać w Polsce. Obu urzędników oskarżono o sprzyjanie Niemcom i nadużycia. W sfingowanym procesie otrzymali wysokie wyroki więzienia, ale wkrótce ten sam sąd wojskowy, który ich skazał, obu uniewinnił. Odzyskali wolność, lecz byli już napiętnowani.

Zatopiony w zieleni azyl w ponemieckiej willi nie gwarantował już ciszy i spokoju. Kiedy po półrocznym pobycie za kratami Mazurkiewicz wyszedł z więzienia, w domu pojawił się nowy lokator. Władze dokwaterowały ubeka, który przez następnych jedenaście lat z wielką gorliwością, skrupulatnie wykonywał dwa zadania: szpiegował i zamieniał każdy dzień życia sąsiada w piekło. Zdawałoby się, że tacy ludzie mogą być tylko wymysłem z galerii papierowych, powieściowych typów, a tu – prawdziwe, najgłębsze poczucie misji w czynieniu zła. Starszej córce Mazurkiewicza groził pistoletem, kiedy krzywo na niego patrzyła. Jego winnicę wykarczał, aby w tym właśnie miejscu urządzić sobie ogródek warzywny.

Niespodziewane ciosy spadały ze wszystkich stron. Wkrótce do więzienia trafili jego

obaj synowie, oskarżeni o przynależność do podziemnych organizacji antykomunistycznych. Obu wyrzucono ze szkoły tuż przed maturą, dalej mogli się kształcić tylko wieczorowo.

Stracił prestiżowe stanowisko w administracji rządowej, ale znalazł pracę, którą ukochał od pierwszego dnia – dyrektora Państwowej Szkoły Muzycznej w Zielonej Górze. Był nim tylko przez dwa miesiące, do czasu, kiedy do Warszawy dotarły pierwsze anonimy. Mazurkiewicz, ze swoimi czterema fakultetami – medycyna i chemia w Greifswaldzie i Berlinie, muzykologia i filozofia na Uniwersytecie Berlińskim, a do tego jeszcze studia muzyczne w berlińskim konserwatorium Klindworth-Scharwenka i dwa doktoraty, z muzykologii i filozofii, na Uniwersytecie Poznańskim, uczeń Oskara Fleischera, Engelberta Humperdincka, Igora Reżnicka, Richarda Straussa, Leo Blecha i Siegfrieda Ochsa, dyrygent chórów i orkiestr symfonicznych, kompozytor, recenzent muzyczny i wieloletni przedwojenny burmistrz, pracy musiał poszukiwać w miejskiej rzeźni.

\* \* \*

Cały czas komponował i prowadził badania naukowe, uciekając od rzeczywistości w świat marzeń. Zamykał się w pokoju z fortepianem i dzień po dniu, całymi latami, pisał muzykę, która ożywała na chwilę pod jego dłońmi, aby wnet umrzeć w wiecznej ciszy. Czarne meble gdańskie, przywiezione z Wielkopolski – biurko, szafy biblioteczne z wijącymi się kolumnkami, zamieniały się w ozdobne trumny dla kolejnych opusów.

Zdumiewa dzisiaj staranność, z jaką kaligrafował swoje rękopisy, którym zaraz urządził pogrzeb. Każda nuta idealnie kształtna, właściwie położona, brzusek przykładnie zaczerniony, laska w dokładnym pionie, jak spod sztancy. Jakby miały przetrwać, w tym swoim idealnym kształcie, i jego, i wieczność. Pisał dla historii. Komponował, organizował muzykę, której młodość i rozkwit miały dopiero nastąpić po bliżej nieokreślonym czasie, po latach, a może stuleciach,



Partytura.

Hymn Ziemi Lubuskiej.

R. Mozurkiewicz.

fl.

ob.

kl. b

kl. es

fag.

tr. E

tr. b

horn. b

ten. b

tub. f

per.

ktt.

s. I

s. II

wiol.

w. cz.

ktr. b

gdy nadejdzie szczęśliwy czas spełnienia marzeń i nadziei. Muzyka przeszłości, pisana dla przyszłości, której nigdy nie dano szans na życie w czasie realnym i konkretnym, anachroniczna, a poprzez to wykluczenie – kaleka.

Może miał rację, może przewidział wszystko. Dzisiaj nikt już, poza klasykami awangardowej pustki, tymi epigonami własnej niemocy, nie nazywa muzyką stukania młotkiem w fortepian i nie twierdzi, że chór powinien szeleścić papierem nutowym, zamiast śpiewać. Czas powoli, lecz skutecznie przesiewa puściznę XX-wiecznego obłędu kompozytorów, którzy uczynili widowisko z mordowania muzyki. Dzisiaj nawet klasyki tych działości, krakowski kabotyn piszący kolejne symfonie własnej wielkości, mozolnie wnosząc piedestał dla własnego podejrzanego klasycyzmu coraz chciwiej sięga po nuty i formy starych mistrzów.

\* \* \*

Prawdziwą nagonkę na kompozytora rozpoczęto z powodu „Hymnu Ziemi Lubuskiej”, tego samego, którego cztery hejnałowe takty rozbrzmiewają każdego dnia z wieży zielonogórskiego ratusza. Kompozycja, napisana dla uświetnienia obchodów pierwszego powojennego Winobrania w 1946 roku, wszystkim od razu przypadła do serca. Śpiewano ją przy każdej okazji, dzięki swojej technicznej przejrzystości znalazła się w repertuarze powstających wtedy chórów amatorskich.

Pieśń na chór mieszany a capella op. 16 nr 2, zatytułowana przez autora słów, Piotra Kłucińskiego „Hymnem Ziemi Lubuskiej”, została zrazu przez fachowców oceniona wysoko. Hymn, śpiewany maestoso, przemawiał powagą, dostojnością, brzmiał chorałowo, majestatycznie, właśnie hymnowo. Linia melodyczna, skonstruowana jasno i logicznie, pozbawiona nadmiernej chromatyki, świadczyła o znajomości techniki chórowej i niezaprzeczanym talencie kompozytora. To, co niektórzy uznawali za drobne błędy harmoniczne utworu – prowadzenie głosów w czwartym takcie powodowało równoległe

kwinty i dwojenie tercji w dominancie, w innym miejscu dźwięk alterowany ku dołowi niespodziewanie się wznosił, zalecano też sprowadzenie dwóch ostatnich taktów do jednego z fermatą, z czym kompozytor bez oporów się godził – można było równie dobrze uznać za efekt przemyślanej decyzji twórcy. W każdym razie pieśń bardzo dobrze brzmiała w chórze mieszanym i w układzie na głosy równe. Dzięki dobremu prowadzeniu głosów mogły ją wykonywać nawet początkujące zespoły. Chętnie wykonywano też jej wersję na połączone orkiestry dętą i symfoniczną. Tak było aż do dnia, kiedy w Zielonej Górze pojawił się obywatel Prystupa.

Prystupa, wizytator szkół artystycznych przysłany do Zielonej Góry z Gdańska i zatrudniony w Wydziale Kultury Powiatowej Rady Narodowej, zadał Mazurkiewiczowi cios najokrutniejszy, jaki tylko mógł: oskarżył go, że jego muzyka jest niemiecka.

„Utwór jest eklektyczny, wzorowany na pieśniach niemieckich z drugiej połowy XIX wieku, nie wnosi nowych wartości muzycznych, nie ma nic wspólnego ani z regionem lubuskim, ani w ogóle z muzyką polską. Utwór jest zupełnie pozbawiony wszelkich wartości artystycznych” – brzmiała opinia przedstawiona w donosie do Ministerstwa Kultury i Sztuki.

„Sprawą Hymnu Ziemi Lubuskiej Ob. Mazurkiewicza” zajęła się partia. Pieśń oceniła komisja fachowców pod przewodnictwem obywatela Prystupy. Werdykt, przesłany do Ministerstwa Kultury i Sztuki, był miążdzący. „Komisja fachowców przy Wydziale Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej wspólnie z KW PZPR oraz Komitetem Winobrania i Kontrolą Prasy orzekła, że w/w kompozycja nie może być rozpowszechniana pod tytułem „Hymn Ziemi Lubuskiej”. Wyrażamy natomiast zgodę, by w/w kompozycja była rozpowszechniana jako normalna piosenka, na co kompozytor nie chciał się zgodzić”.

„Pospolite kłamstwo! – napisał Mazurkiewicz na kopii tego pisma, którą otrzymał do wiadomości. – Zgody nie wyrażono, lecz przeciwnie, kategorycznie zakazano śpiewać”.

\* \* \*

W końcu odmówiono mu prawa do komponowania muzyki. Egzekucję przeprowadził w 1954 roku Tadeusz Baird, wówczas 25-letni wiceprezes Związku Kompozytorów Polskich. Młody twórca miał przed sobą jeszcze daleką drogę, nim zostanie patronem zielonogórskiej filharmonii, którą Mazurkiewicz stworzył i zorganizował, ale od samego początku kroczył w przyszłość ciężkimi krokami. Świat się od nich zatrząsł, przynajmniej dla Mazurkiewicza.

Zgłaszając swoją kandydaturę do Związku Kompozytorów Polskich, Mazurkiewicz przedstawił do oceny trzy pieśni: „Daremne żale” opus 16 nr 4 i „Szczęśliwe ludy” nr 5 na chór mieszany a capella, obie do słów Adama Asnyka oraz „Czaty” opus 19 nr 1, melodram *andante affettuoso*, jak chciał autor, a właściwie pieśń solo z towarzyszeniem fortepianu bądź, w pierwotnej wersji, małej orkiestry symfonicznej, do słów ballady Adama Mickiewicza. Zwięzła odpowiedź komisji kwalifikacyjnej brzmiała jak wyrok bez prawa apelacji: „Zarząd Główny Związku Kompozytorów Polskich zawiadamia uprzejmie, że podanie Obywatela w sprawie przyjęcia na członka ZKP zostało załatwione odmownie ze względu na prymitywny poziom techniki kompozytorskiej i brak cech osobowości twórczej”.

W ślad za tą opinią do Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze powędrowała jeszcze ocena jego „Hymnu”. „Nadesłany do zaopiniowania utwór R. Mazurkiewicza pt. „Hymn Ziemi Lubuskiej” w tej formie nie nadaje się do rozpowszechniania. Na podstawie nadesłanego odpisu można stwierdzić, że utwór jest zupełnie pozbawiony wszelkich wartości artystycznych”.

Zdumiony Mazurkiewicz dopiero wtedy się dowiedział, że nuty wysłał do oceny komisji kwalifikacyjnej jego zaprzysięgły wróg, Prystupa. Oskarżył go o sfałszowanie odpisu, lecz było już za późno. Gilotyna opadła.

– Po tym wszystkim ojciec całkowicie się załamał – wspomina Zdzisława Kraśko.

Wycofał się do swojego pokoju z wrakiem fortepianu, z cmentarzem kolejnych opusów. Zza drzwi całymi dniami dobiegały dźwięki, mozolnie niszane na osnowę pięciolini. Komponował drugą symfonię, Lubuską, którą otwiera potężny chór blaszany i heroiczne przyzwanie rogów. Na przekór wszystkim.

\* \* \*

Cała rodzina, żona i czwórka dzieci, była na jego utrzymaniu. Dorabiał udzielając prywatnie lekcji muzyki i języków obcych: angielskiego, francuskiego, niemieckiego i łaciny. Zbliżał się już do wieku emerytalnego, więc aby nie stracić pracy w zakładach mięsnych przerobił swoją metrykę urodzenia, odmładzając się o dziesięć lat.

Zanim Władysław Gomułka podmienił stalinizm gomułkizmem, jesienią 1956 roku Mazurkiewiczów zdążono jeszcze eksmitować z przestronnej willi do mieszkania tymczasowego przy ulicy Ogrodowej. Meble, które nie mieściły się w nowym lokalu, o połowę mniejszym, powędrowały pod rozmaite adresy i nigdy już do właścicieli nie wróciły. Rodzina bardzo boleśnie odczuła tę kolejną represję.

– W domu była po prostu bieda – wspomina córka Zdzisława. – Ojciec nigdy jednak nie tracił fasonu. Widzę go, jak każdego ranka wiąże muszkę, bez której się nie pokazywał, i w bonzurce zasiada z mamą do śniadania. Potem zamykał się w swoim pokoju i brzdąkał na fortepianie. Do końca udzielał lekcji muzyki i czasem słyszałam zza drzwi, jak powtarza zirytowany, postukując w stół batutą: „Nie tak, nie tak!”. To był najwyższy wyraz wzburzenia, na jaki sobie pozwalał. Nigdy nie krzyczał, nie użył niestosownego słowa. Kiedy chciał mnie za coś strofować, wymawiał tylko moje imię. Nic więcej nie musiał dodawać, a ja wiedziałam, o co chodzi.

Miał jeszcze jedną pasję, której pozostał wierny. Jak przystało na zielonogórskiego wicestarostę, każdego roku tłoczył domowe wino. Najpierw z własnych winogron, później, gdy stracił winnicę, z owoców rodzących się w sadzie poniemieckiej willi – wiśni, jabłek, „aprikosów” czyli moreli, w końcu, gdy i ten

sad utracił, z czego popadło: z bułgarskich winogron sprowadzanych na święto zielonogórskiego Winobrania, z dzikiej róży, z żyta. W tych przedsięwzięciach towarzyszyła mu najmłodsza córka Zdzisława. Może stąd wzięło się jej zainteresowanie dla winiarskiej przeszłości miasta, które zaowocowało później pracą w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Została w nim kustoszem działu winiarskiego, którego dzisiejszy kształt jest efektem jej wieloletniej pracy.

\* \* \*

Każdego dnia zielonogórski rynek napęła melodia hejnału, który Mazurkiewicz skomponował w 1945 roku, pierwszy raz witając się z miastem. Cztery takty, grane dzisiaj z ratuszowej wieży, w pierwotnej wersji zostały rozpisane na małą orkiestrę symfoniczną połączoną z orkiestrą dętą, która miała dublować partię rogów, trąbek i puźonów. Dzięki zwielokrotnionej obsadzie w grupie instrumentów dętych utwór zyskiwał potężne brzmienie chóru blaszanego, które miało prowadzić pierwszy winobraniowy korowód. Do dzisiaj powraca do nas odległe echo tej świątecznej topofonii – cała reszta ucichła w domowym archiwum, w oprawionych i zarzuconych rękopisach, cierpliwie poliniowanych i wypełnionych kaligraficznym pismem nutowym.

W końcu jednak przyszła do mnie ta muzyka, przywołana do życia, u schyłku pewnego letniego popołudnia, mezzosopranem śpiewaczki operowej Bogumiły Tarasiewicz. Słuchałem kolejnych pieśni, kantat i chorałów, których słowa płynęły przy akompaniamencie pianina.

W przeźroczystą strukturę atmosfery letniego wieczoru powoli wplatał się Benedictus op. 18 nr 1, błogosławiący imię Pańskie na wysokościach. Utwór, napisany na chór mieszany, pojedynczy głos zmieniał w prawdziwą modlitwę, pełną najwyższego skupienia, jakiego wymagało czytanie skomplikowanej faktury organowej nut i śpiewa a vista. Muzyka rozwijała się, fraza wynikała z frazy i odpływała w przestwór wieczornego

nieba, ponad dachami domów Wilkanowa, i dalej, ku wieżom kościelnym pobliskiej Świdnicy.

W końcu zabrzmiało *largetto grave* z jego pierwszej symfonii c-moll, z której sporządził wyciąg fortepianowy. Pastoralne *adagio cantabile* nie zapowiadało jeszcze dramatu, który – ledwie zaznaczony wprowadzeniem polifonii, zrazu jednak bez wyraźnej przewagi żadnej z linii melodycznych – rozwija się niepokojąco, zwiastując gęstniejący mrok, aż w ciemności zabrzmiał złowieszczy dźwięk kopyt z marsza żałobnego poprzedzającego finał, ten obsesyjny, punktowany rytm: ósemka z kropką – szesnastka, niczym zapis nurtującej go natrętnej myśli, lapidarny, muzyczny wyraz jego osobowości, i wtedy rozpoznałem tę frazę, słyszaną wcześniej, w jakimś innym utworze, a może pulsującą tajemniczo pod słyszalną materią całej jego muzyki – linię skrzypiec osnutą kunsztownie na wątku głębokich basów i przywołującą uczucie głębokiego smutku i niepokoju, napomnienie o tym, co groźne i nieuniknione, i wszechobecne (niczym nieśmiertelna fraza z sonaty skrzypcowej Vinteuila, w której Swann rozpoznał blask księżycy na leniwej, fioletowej fali Vivonne, zapach kwitnących głógów, których śnieżnobiałe, delikatnie różowo żyłkowane płatki podmuch wiatru zamieniał w tańczące baletnice, i kobietę wnoszącą w jego życie obraz nieznanego dotąd piękna, wykraczającego poza skalę jego wrażliwości – a w której można już było rozpoznać obłęd autora tych nut).

A kiedy wybrzmiała już, rozplynęła się w mroku cisza ostatniego taktu symfonii, i skonał w bezruchu ten przejmujący rytm, zacerpnięty może z marsza żałobnego Chopina, może z Beethovena, albo z Symfonii Tragicznej Schuberta, przypomniał mi się ostatni dzień Mazurkiewicza, jego ostatnia chwila, poprzedzona natrętnym *staccato* telegrafu, które proroczy wplatał w całą swoją muzykę – kiedy przeczytał trzymany w drżącej dłoni telegram, zwiastujący śmierć ukochanego syna, i kiedy nagle oberwał się rytm, który niczym metronom odmierzał jego dni, gdy pękło jego serce.

### W pensjonacie „Hausener Dorfkrug”

1.  
Miło, przytulnie, białe ściany  
bez jednego obrazka  
nawet pajęczka w kącie,  
ani na niej plamki,  
więc brak mi mojego czarnego tła ośła  
wyjącego z nudy pośród ośniezonych  
zabitych deskami chałup,  
których nie zasłania  
suche, nagie drzewo.  
*Małomiasteczkowa nuda*  
Stacha Mrowińskiego,  
pejzaż, którego bał się wnuk  
mówiąc, że to dziwny obraz dziadka.

2.  
Nocą w „Dorfkrugu”  
kwiliła za ścianą miłość  
głosem dziewczyny  
pijącej teraz z przyjacielem  
ranną herbatę z mlekiem,  
takie sobie *nic* w okularkach,  
zaś sam czułem się zawstydzony  
jako mimowolny świadek  
intymnego wzlotu  
lub być może zdrady.

3.  
Brak mi w hotelowym pokoju  
*plótna* (tak plótna)  
wczesnego Berdyszaka,  
nabytego od młodego artysty  
w sześćdziesiątym czwartym  
za tysiąc złotych.  
Plótno duże, nietypowe  
dla profesora, który  
puste przestrzenie  
niby powietrze ujmował w ramy,  
natomiast mój obraz – tło  
w przeważającej czerni  
rozjaśnionej smugami  
jak po wybuchu lawy.  
Moja mała wnuczka  
przyglądając się mu z założonymi  
do tyłu łapkami zapytała z powagą:  
„Dziadku, a masz może kredę do tej tablicy?”

4.

W „Palais Jalta”

(który wcale nie jest  
krymskim pałacem,  
a przypomina raczej  
podobnie oschłą salę  
u dominikanów)

Heinz Czechowski

wypomniał mi z wybaczącym uśmiechem,  
iż kiedyś odmówiłem dokonania przekładu  
jego „Polskiego wiersza”

jako, że uznałem go za „zbyt frywolny”.

Musiało go to wtedy dotknąć,  
ale nie gniewał się na mnie

i powołując się na polskich przodków  
odczytał ów tekst jako pierwszy,

ale i dzisiaj przywodzi mi ów utwór  
na myśl wiersz Heinego

o Krapulińskim i Waschlappskim.

Natomiast Werner Söllner

powitał mnie gorąco przed spotkaniem  
jako faceta, którego poznał

w siedemdziesiątym ósmym  
w Bukareszcie.

Sumitował się kiedy odparłem,

Że nigdy tam nie byłem.

5.

W „Pałacu Jalta”

ściany nie były białe,  
lecz broczyły czerwinią  
plakatów z okresu PRL

z Bierutem i Rokossowskim,

z „zaplutym karłem reakcji”,

gdzie mikrofon zespolił

trójkę poetów z byłych demoludów

NRD, Rumunii i Polski.

6.

W kościele św. Anny

przy Grosse Nelkenstrasse

czarnoskóra zakonnica

ukazuje mi białą hostię

(białą jak ściany w moim pokoju)

i ze słowami *Leib Christi*

składa mi ją szarymi palcami

na otwartej dłoni.

Frankfurt /M., 22.10.2000

# Rok czarnego słońca

(reportaż, Radio Zachód, lipiec 2005)

**Cezary Galek**

---

*Biesłan, Biesłan*

*Ty moje nieszczęście, moja rozpacz i ból*

*Po czyjej zdradzieckiej woli?*

*Biesłan jak straszne hasło*

*Biesłan ty teraz jak kula w sercu*

*Jak pęknięcie w mojej duszy dzwonisz*

*jak straszny krzyk z dzieciństwa*

*którego nie da się zapomnieć nigdy...*

(fragment wiersza zamieszczonego w gazecie „Głos Biesłanu”)

Walery:

Miasto żyło w pokoju..., to takie małe prowincjonalne miasteczko, gdzie praktycznie wszyscy się znają, przynajmniej z widzenia. Nazywam się Walerij Juchanow. Pracuję w Akademii Medycznej. Przyjechałem do Osetii 28-go. Byłem poza granicami republiki. Przygotowywałem się, bo 1 września miałem rozpocząć lekcje we Władikaukazie. Tu się dowiedziałem, że w Biesłanie napadli na szkołę numer jeden. Pierwsza moja reakcja: nie uwierzyłem. Pomyślałem, że to pomyłka, żart, wszystko jedno, tylko nie to co się stało.

Bieła:

Tego dnia mieliśmy świętować, wszyscy się przygotowali. Kończyłam w tym roku naukę, byłam bardzo zadowolona. Tego dnia przyszłam wcześniej, żeby ostatni raz zobaczyć swoich kolegów z klasy – tak pięknie ubranych!

Tina:

Jestem uczennicą IX klasy. Ze swoimi braćmi i siostrami poszłam do szkoły. Kiedy się spotkaliśmy wyszliśmy na zewnątrz. Gdy zaczynała się zbiórka poszliśmy ustawić się na swoich miejscach. Staliśmy przy kotłowni tuż obok XI klasy. Czekaliśmy na rozpoczęcie uroczystości.

Sima:

Jestem nauczycielką jednej ze szkół w Biesłanie, która znajduje się naprzeciw szkoły numer jeden. Od początku do końca tam byłam, bo my również zabraliśmy nasze dzieci na uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego – 1 września. To było 15 minut przed rozpoczęciem święta. Była tam też moja kuzynka, milicjantka. Gdy przyszła, coś się jej nie spodobało i wzbudziło podejrzenia. Podeszła do niej jedna z nauczycielek i mówi: Rita, coś mi się nie podoba, tam stoją jakieś samochody, a u nas przy szkole nie wolno parkować obcych samochodów. I od razu pobiegła zadzwonić na milicję, opowiedzieć, że coś jest nie tak. A tam się na nią rzucili napastnicy, zaczęli jej wykręcać ręce i wyzywać.

Bieła:

Dzieci z X klasy wypuściły balony w środku z życzeniami dla nas, abyśmy dobrze w tym roku zakończyli szkołę. Minęła jeszcze minuta i wtedy to się zaczęło.

Tina:

Zobaczyłam, jak wleciały balony, a zaraz potem - jak tłum rozbiegł się a od strony bramy nadbiegli ludzie w czerni. Nie rozumiałam co się stało. Fala ludzi poniosła mnie w stronę kotłowni. Było ich tam już dużo, prawie cała klasa XI. I nas tam też zaniósł.

Sima:

Kiedy zaczął się napad na szkołę, bardzo dużo napastników podjechało samochodami, na plecach mieli automaty. A nasza szkoła raptem 50 metrów dalej. Zabraliśmy nasze dzieci - wystraszeni i odbiegliśmy od tego piekła. Wszystkich, którzy tam stali zapędzono do sali gimnastycznej.

Bieła:

Gdy przybiegli i zaczęli strzelać doznałam szoku. Na początku nie wiedziałam, co się stało. Dziesięć sekund stałam w jednym miejscu. Nie mogłam zrozumieć, że to się dzieje naprawdę. Dopiero gdy wszyscy zaczęli krzyczeć, że na nas napadnięto, dotarło do mnie, że zajęli szkołę.

Siostra:

Jestem starszą siostrą Bieli. W tym czasie byłam w Moskwie. Dzwonię do brata, pytam, co słyhać, co nowego - a on milczy. Myślałam, że może się na mnie obraził, bo dawno do nich nie dzwoniłam. A po chwili on mi mówi: - Słyszałaś w Biesłanie był napad na szkołę, nie wiem którą. Od razu pomyślałam, że to nie może być pierwsza. Odezwiała się żona mojego brata. Gdy usłyszałam jej głos, rozumiałam, że to się stało właśnie w tej szkole, bo płakała, głośno szlochała. Miałam nadzieję, że oni się spóźnili. Kiedy zapytałam, czy mama z Bielą tam są, potwierdziła i strasznie się rozplakała. W tym momencie zawalił się mój cały świat. Rzuciłam słuchawkę, zaczęłam mocno płakać, nie wiedziałam co robić! Znajduję się dwa tysiące kilometrów od domu. Nie wiem, jak pomóc. Pierwsza myśl to pojechać tam. Miałam nadzieję, myśląc o Bogu, że nie zrobiliśmy w życiu niczego złego, żeby tak cierpieć!

Bieła:

Była tam jeszcze mama i siostra z siostrzenicą. Szukając ich spotkałam nauczycielkę angielskiego, która zaprowadziła mnie do kotłowni. Byli tam już inni ludzie, wielu zdołało się ukryć, ale nas stojących z brzegu wyprowadzili.

Walery:

To były straszne przeżycia, od razu pomyślałem kto z moich bliskich mógł tam być. Sam się urodziłem i wychowałem w Biesłanie i wiele lat chodziłem do szkoły numer jeden. W dzieciństwie grałem w koszykówkę, chodziłem tam na zajęcia. Oczywiście miałem bardzo dużo znajomych. Był problem z dojazdem z powodu chaosu.

Przyjechałem jednak bardzo szybko samochodem, z moimi przyjaciółmi. Podjechaliśmy pod szkołę, gdzie było już bardzo dużo ludzi. Wszędzie panika, łzy, krzyk, nawet teraz nie mogę w to uwierzyć. Miałem wrażenie, jakby to się stało na innej planecie.

Tina:

Tam byli palacze. Zaprowadzili nas do pomieszczenia obok. Z przodu została XI klasa. Tam była moja siostra, widziałam ją i pomyślałam, że jesteśmy razem. Później, gdy wbiegł do kotłowni terrorysta i zaczął strzelać, pracownicy kotłowni zamknęli drzwi naszego pomieszczenia i powiedzieli żebyśmy byli cicho. Potem dowiedzieliśmy się, że część dzieci wyprowadzili i pognali do szkoły. Szukałam swojej siostry, ale jej nie znalazłam. Wyprowadzono ją razem z XI klasą.

Bieła:

Zaprowadzili nas do szkoły, ale nie wchodziliśmy głównym wejściem, lecz przezrzucono nas przez okna. Znalazłam mamę w sali gimnastycznej. Terrorysty krzyczeli, pomimo tego znalazłam ją i byliśmy razem.

Siostra:

Nie dojechałam do Biesłanu. Na jakimś przystanku przed czekali moi bracia. W końcu dojechaliśmy. Miałam nadzieję, że to wszystko się zakończy happy endem - jak w amerykańskich filmach. Miałam taką dziecięcą nadzieję, że wyjdą stamtąd dzieci, a wszyscy, którzy stali te trzy doby czekając na swoich krewnych i bliskich na ulicy, będą biec im na spotkanie, że zobaczą jeden drugiego, żywego i zdrowego. Ale niestety stało się inaczej.

Sima:

Przez te 3 dni, kiedy oni byli w szkole, my na zewnątrz bardzo to przeżywaliśmy. Wierzyliśmy, że się zakończy szczęśliwie, że jakoś się dogadają między sobą i wypuszczą zakładników. Ale taki cud się nie zdarzył. Mimo tego, że postąpili bardzo źle, myśleliśmy, że zlitują się nad dziećmi, kobietami. Tam były nawet dwulatki. Ale oni nad



nikami się nie zlitowali. Bardzo źle zrobili. Ktoś miał tam braci, siostry, dużo moich krewnych tam zostało i zginęło. Byli też dorośli mężczyźni. W pierwszym dniu ich wszystkich zastrzelili, bo wiedzieli, że mogą stawiać opór... zastrzelili! Dwóch takich mocnych zostawili i powiedzieli: pójdziecie z nami, będziecie wyrzucać ciała. Jeden z nich to mąż mojej kuzynki. Gdy oni wyrzucili 13 ciał, mój krewny mówi: te ciała wyrzuciliśmy a teraz nas zastrzelą i też wyrzucą. Dawaj wyskoczmy! Tamten nie rozumiał. Wiec sam wyskoczył i złamał nogę, ale uciekł! Był w stanie uciec. A tamtego od razu rozstrzelili.

Tina:

W kotłowni przesiedzieliśmy trzy godziny, potem przyszli do nas funkcjonariusze OMON-u. Palacze wyłamali okno i pomogli nam wyjść na ulicę. Poprowadzono nas w stronę milicjantów. Było tam bardzo dużo ludzi. Potem zadzwonili do naszych rodziców. Po godzinie przyjechała moja mama i mnie zabrała. Przez wszystkie trzy dni stałam z nią i ojcem na ulicy. Bardzo to przeżywałam, bo w szkole były jeszcze trzy siostry i brat. Bałam się o nich.

Walery:

Co ja mogę zrobić, jak mogę pomóc bliskim, dzieciom, które tam trafiły? Wszystkich psychologów, jakich tu mieliśmy pogrupowaliśmy po dwie, trzy osoby, aby pomóc tym, którzy tracili przytomność lub mieli problemy z sercem. Dlatego, że sytuacja przekraczała ludzkie wyobrażenie. Ludzie mdleli, krzyczeli, płakali, szczególnie matki i kobiety. Byliśmy tam całe doby. Nie było dnia, nie było nocy, na te trzy dni czas się zatrzymał.

Sima:

Wewnątrz byli nauczyciele. Pracowałam z większością z nich właśnie w szkole numer jeden. Głównie z klas podstawowych. Oni też, jak mogli starali się wokół siebie wszystkich zebrać. Nie było warunków do spania, głowy kładli sobie na kolanach. Była taka jedna nauczycielka – 72 lub 73 lata, w podeszłym wieku. Nie mogła żyć bez szkoły – wszyscy ją lubili. Ona stała przy oknie i mówi: - Ze mnie

korzyści już żadnej a ja chcę byćcie wy przeżyli. Stawajcie na moich plecach i wyskakujcie przez okno. I ona tak ocalała wielu. Gdy jeden napastnik przebiegł i to zobaczył, zastrzelił ją. Tak... A druga też w ten sposób pomogła, miała może 27 lat. Była mniejsza, ale wchodzili na nią, przez plecy i uciekali. Ją też zastrzelili. A ci, którzy uciekli opowiadali później, że namawiali ją do ucieczki, nawoływali: – Chodź, szybciej! Emma, podniesiemy Cię i zaniemiemy. A ona mówi: – Wy mnie już nie uratujecie, popatrzcie (cała pierś przestrelona), ... znajdźcie moją córeczkę i uratujcie ją! Ale jej córka też zginęła. Zginęło 19 nauczycieli. Tak było...

Bieła:

Ja smutno wszystko wspominam. Minęło to jak mgła. Pamiętam tylko, że martwiłam się o moją mamę i o nikogo więcej. Niczego innego nie słyszałam. Było mi wszystko jedno, co tam się dzieje. Dla mnie było ważne, że moja mama jest ze mną, że żyje i do tej pory nie byłam ranna. Tam było bardzo dużo ludzi, ciężko, ciężko to wspominać.

Sima:

Na początku nie wiedzieliśmy ile tam jest ludzi. Najpierw mówili, że 175 osób. Potem że 300. A kiedy powiedzieli, że około półtora tysiąca,... straszne: przecież to sala gimnastyczna, a temperatura była bardzo wysoka, jakieś 32 stopnie. A tam prawie półtora tysiąca ludzi. Wszystko się gotowało, topiło a nikt nie pozwolił okien otworzyć. Miałam tam pięćcioro krewnych.

Bieła:

Oczywiście nie dawali jeść. No i nie chciało się. Niczego nie chciałam, było mi wszystko jedno. Raz nas wyprowadzili, mnie i mamę, tylko jeden raz w ciągu tych trzech dni. Wypiłam łyk wody. Mama też. I tylko tyle. Nie pamiętam co się stało. Przesadzili nas na inną ławkę. Na niej przesiedzieliśmy ten dzień. To było jakoś w nocy, nad ranem. I potem rano nastąpił wybuch. A dalej... nie chcę wspominać, co się działo. Tam... Trudno mi to wspominać... nie chcę...!

Tina:

3 września kiedy rozległ się wybuch, od razu pobiegliśmy w stronę szkoły i długo szukaliśmy mojego brata oraz siostr. Pod wieczór znaleźliśmy siostry - od razu zawieźli je do miasta. Długo nie mogliśmy znaleźć mojego brata. A najmłodsza siostra dwa miesiące leżała w Moskwie, od razu ją tam zawieziono.

Sima:

Kiedy nastąpiły wybuchy, wszystko się zrobiło czarne od dymu, dookoła sadza, leciały pociski, nie rozumieliśmy skąd to wszystko. Samoloty leciały, obserwowały co się dzieje, wojna, prawdziwa wojna była! Szukano bliskich, małe dzieci, nie można było nikogo znaleźć. Niektórych można było poznać najwyżej po pieprzyku na nóżce. Własna matka ledwie rozpoznała dziecko po tym pieprzyku. Wszystko było spalone, nie można było nic rozpoznać.

Walery:

Kiedy to się stało, był chaos. Wszyscy chcieli się tu dostać by pomóc. Niektórzy bardzo dużo ryzykowali, bo terroryści, którzy przeżyli, strzelali i zabijali. Ale ludzie na to nie patrzyli, brali na ręce swoje ranne dzieci i biegli w stronę samochodów, które miały je zawieźć do szpitala. Na drugi dzień skierowali nas do pomocy przy identyfikacji ciał.

Sima:

Każdemu zależało, aby odnaleźć swoje dziecko, swoją matkę, bliskich, żeby pochować, by chociaż móc opłakiwać to miejsce. Już nawet na to się godzili. Wszystko jedno, nie wierzyli, że oni zginęli, lecz myśleli, że przepadli bez wieści. Ale takich nie było, nie było zaginionych. Po identyfikacji ciał znaleźli wszystkich. To było straszne. Mój mały siostrzeniec też tam był, VI klasa. Kiedy wyszedł – rozmawiamy o swoim, a on dziwnie patrzy zamyślony i pyta: czy wam dawali tu wodę do picia? Bo im tam wody nie dawali, ani jedzenia. Oni się godzili być bez jedzenia ale chociaż wodę mogli im dać. Jeden samochód szybko jedzie do szpitala w jedną stronę, drugi do miasta, bo nie pomieściliby

się wszyscy w Biesłanie, inne jeszcze spieszą do Władykaukazu – 20 kilometrów stąd. Jeden mężczyzna znalazł swoje dziecko i biegnie z nim, a ono krzyczy: nic mi nie jest, nie płaczcie. A my stoimy i zalewamy się łzami... Nic mi się nie stało, nie płaczcie, nie płaczcie, ja żyję.

Siostra:

Nasz tata poszedł do szpitala i powiedział nam, że natychmiast zadzwoni, gdy tylko się czegoś dowie. Zadzwonił i powiedział, że znalazł naszą mamę! Pobiegliśmy tam. W tym samym czasie moi bracia szukali Biełę. Mój starszy brat zdecydował, że będzie szukał w kostnicach. Okazał się jednak bardzo słaby, zaczął płakać i nie był w stanie tam pójść, nawet stracił przytomność. Młodszy brat nie miał wyboru, bo trzeba było szukać, bardzo mocno płakał, ale przewyciężył swoje emocje i poszedł do kostnicy. Kiedy obejrzał ciała i jej nie znalazł był bezgranicznie szczęśliwy. Było mu jednak bardzo ciężko, gdy zobaczył inne zabite dzieci. Dwa dni nie mógł dojść do siebie, aż zanosił się od płaczu. Cały czas te dzieci, te małeńkie zwłoki, pojawiały mu się przed oczami. Nie mógł nawet spać.

Tina:

Przywieźli do domu moją przyjaciółkę. Bardzo się ucieszyła, że mnie widzi. Od razu odnaleziono większość moich kolegów z klasy, pochowano ich w pierwszych dniach. Do kogo zdążyliśmy, to poszliśmy z klasą na pogrzeb. Bardzo się martwiłam o swoich ocalałych kolegów. Wielu z nich od razu zawieźli do Moskwy. Dopiero niedawno ich zobaczyłam. Byli ciężko ranni, dopiero teraz stamtąd wrócili.

Sima:

Mój siostrzeniec też tam był. Taki kochany i ładny, jak się uśmiechał miał takie ładne dołeczki, wyjątkowo ładny. Poszedł do IX klasy. Pomagał mamie, ona była z niego taka dumna. Jej jedyny syn. I też tam się spalił. Matka na czarno w żałobie, podtrzymujemy ją na duchu jak możemy. Podtrzymujemy, jak możemy. A jak można podtrzymać na

duchu matkę, jeśli jej jedyny syn tam się spalił? Wielu jest takich!

Tina:

Cały miesiąc nie mogliśmy znaleźć mojego brata, potem w październiku przyszła wiadomość z Rostowa, że trzeciego października został pochowany. Ja nie traktuję jako szczęście tego, że uciekłam. Myślę, że gdybym była w szkole, moim siostróm byłoby lżej. Wiedziałam, że one są w szkole, a one nie wiedziały, co ze mną. Przeżywały, to co się ze mną działo. Myślę sobie, że może gdybym była w szkole, byłoby nam lżej wszystkim razem.

Sima:

To co było, jest niemoralne a oni się na to napatrzili. Nie pozwalali wyjść do toalety. Wstydzieli się, bo każdy patrzył. Tam byli przecież nauczyciele, kobiety, starsi ludzie i dzieci. A nie wolno było wyjść do toalety... Dzieci to widziały, teraz im za to wszystko jest wstyd. Przychodzą, gdy nikogo nie ma w szkole, płaczą, przynoszą wodę, zabawki - tam jest całe mnóstwo zabawek. Córka mojej kuzynki czasem wskakuje jej na ręce i mówi: mamó, ja się boję, mamó, ja się boję. Chwyta mamę i nie może spać. Krzyczy: boję się, boję. Albo mówi: mamó, słyszysz? Tam dzieci płaczą. I pokazuje w stronę cmentarza...

Walery:

Tak naprawdę to tak trudnego problemu związanego z dziećmi nie było na całym świecie. Opieramy się na intuicji: jak serce podpowie i na naszym doświadczeniu zdobytym do tego czasu. Przede wszystkim trzeba nauczyć się samemu sobie pomóc, wyjść z tego trudnego stanu. Później z tym doświadczeniem pomagać innym, którzy jeszcze sobie nie poradzili. Stale spotykamy się ze sobą, pomagamy wychodzić z trudnych, psychologicznych sytuacji i potem to nasze nowe doświadczenie wykorzystamy pomagając pozostałym.

Tina:

Spotykamy się, rozmawiamy ze wszystkimi, często chodzimy do szkoły i na cmentarz

z klasą, nauczycielami. Rozmawiamy i staramy się nie zapominać o sobie nawzajem. Dużo czasu spędzamy razem. Niedawno moja przyjaciółka, która zginęła, miała urodziny. Poszliśmy do niej do domu, do rodziny, a potem na cmentarz.

Walery:

To jest przede wszystkim strach przed tym, co się stanie znowu: obawa, niepokój. Ludzie się boją, ale nie wiadomo czego. To jest stały strach, że ktoś napadnie, że znowu stanie się coś złego. To jest oczywiście ogromna obawa o swoich bliskich.

Siostra:

Gdy ogłaszali listę nazwisk, usłyszeliśmy, że nasza siostra Biela jest w szpitalu w mieście Władykaukaz. Pojechaliśmy tam, poinformowano nas kłamliwie, że u niej są niewielkie obrażenia nogi i wszystko w porządku. Potem się okazało, że stan jest bardzo poważny. Byliśmy tam z całą rodziną. Do 9 września była na oddziale intensywnej terapii. Spędzaliśmy tam całe doby, bo była „jedną nogą na tamtym świecie”. Potem się poprawiło i 9. przetransportowano nas specjalnym samolotem do Moskwy. Oczywiście po tym wydarzeniu w naszym życiu bardzo dużo się zmieniło. Zaczęliśmy doceniać życie i siebie nawzajem jeszcze bardziej. My w ogóle jesteśmy bardzo zżytą rodziną, jest nas sześcioro dzieci. Ta sytuacja zostawiła po sobie ślad. U mnie szczerze mówiąc do tej pory został strach.

Biela:

Jedyny problem, który teraz mam w życiu to myśl, że do 1 września ja żyłam..., chodziłam na tańce narodowe osetyńskie, skakałam tam dwie godziny dziennie, tańczyłam. A teraz nie jestem już w stanie tego robić. Teraz bardzo dużo tracę, to konieczność, to co u mnie teraz jest urazem to wszystko można naprawić, myślę że kiedyś wyzdrowieję i będę tańczyć jeszcze lepiej.

Walery:

Od czasu kiedy to się stało ludzie żyją jak w nieszczęściu. Jak żyli po wojnie. Wszystkie

ich myśli skierowane są na przeżycie tego nieszczęścia, to są właśnie te wspomnienia, łzy. Tym bardziej, że zbliża się rocznica, będzie równo rok, jak to się stało. Ludzie przygotowują się mając obraz przeżytego nieszczęścia, utraty bliskich. Mają teraz ciężki okres. To straszne, kiedy dorośli muszą widzieć śmierć swoich dzieci, młodszych braci czy siostr. To na pewno jest najgorsze.

Sima:

U nas ludzie są teraz bardzo smutni, mają zupełnie inne oczy, nie śmieją się. Nie wiem, może nauczą się. Będziemy myśleć, żeby nauczyli się znowu śmiać. Bo nasz naród potrzebuje zdrowego przyszłego pokolenia. Oni bardzo źle się z tym czują. Trudno o coś zapytać, bo jak zaczynasz o coś ich wypytywać, robią się agresywni. Kilka dni pod rząd chowaliśmy, chowaliśmy ludzi. Całe miasto to przeżywa. Dzieci, w szczególności te najmłodsze, przysyłają rysunki, pocieszają, wyrażają współczucie. I z cerkwi, dorośli również - wszyscy starają się podtrzymać na duchu. Przysyłają telegramy, rysunki, wiersze. Szczerze mówiąc ja nie wiem, jak będą się czuć - w końcu mija prawie rok - wszystko to się dalej odczuwa. U nas cały czas Biesłan w żałobie. Jest taki zwyczaj, że trwa czterdzieści dni - tego nikt nie musi dotrzymywać. Ale mało, że dotrzymują to nic jasnego się nie nosi - już prawie rok ludzie chodzą w czerni. Jest mi bardzo żal. Nieraz się myśli, może lepiej byłoby być tam samemu zamiast tych dzieci. Broń Boże, żeby się gdzieś coś takiego powtórzyło. Straszne.

Tina:

Ostatni raz byłam tam w szkole po zimie - ona się zrobiła całkiem bez wyrazu. Niebezpiecznie jest wchodzić na piętro. Gdy tam byłam, nie wpuścili nas bo już skrzypiały podłogi, wszystko się chwiało. Nic tam nie ma, budynek jest ogołocony. Często przyjeżdża ktoś z zagranicy, ludzie wchodzi

stawiają wodę, kwiaty, zapalają świece. Kiedy byłam ostatni raz w hali stały kwiaty i woda. Do szkoły też stale przychodzą rodzice dzieci, które zginęły. I nie tylko.

Sima:

W szkole nie ma żywego miejsca. Ona tam stoi jak wspomnienie dla żywych o tym, co mogą zrobić ludzie, których nie można określać ludźmi. My otwarcie tak mówimy: nie-ludzie. To nie są ludzie!

Walery:

Wielu jeszcze teraz nie może uwierzyć w to, co się stało. Nie wierzą i nie chcą wierzyć, że wczoraj dziecko, mama i ojciec byli obok, a dzisiaj już nie. Nie zdają sobie sprawy z ogromu tragedii. Ona jest tak ogromna, że mózg człowieka nie jest w stanie tego ogarnąć. Dzieci, które tam były, rysowały potem czarne słońca, czarne słońca i rozerwane serca. Serca ociekające krwią.

*Biesłan*

*my blisko, my z tobą*

*my dzielimy twój smutek*

*my wszyscy żyjemy twoim losem*

*my wszyscy z tobą w jednym szeregu*

*my wiemy, nieszczęście nie ucichnie*

*myśli, słowa nie leczą*

*My wiemy - wiara i nadzieja*

*nie opuszczą nas nigdy...*

Reportaż dziennikarza Radia Zachód S.A. Cezarego Galka pt. „Rok czarnego słońca” będzie reprezentował polską radiofonię podczas organizowanego w Barcelonie europejskiego konkursu medialnego PREMIOS ONDAS 2005, którego celem jest nagradzanie stacji radiowych i telewizyjnych za jakość i nowatorstwo programów oraz zwrócenie uwagi na nowe kierunki w tworzeniu audycji przeznaczonych dla szerokiej rzeszy słuchaczy.

Feature:

## Bruder Heinrich Die wahre Geschichte von Strittmatters Laden

(Teil 3)

**Matthias Körner**

**Produktion: mdr 2000**

**Regie: Wolfgang Rindfleisch**

**Redaktion: Kathrin Kiehl**

### *O-Ton Heinrich Strittmatter:*

Das war das erste Firmenschild hier: Bäckerei und Lebensmittel Heinrich Strittmatter. Das allererste, denn nachher wurde vergrößert, weil wir ja nicht bloß Lebensmittel hatten, sondern auch Colonialwaren.

Der alte Schrank hier ist auch erwähnt im Roman. Meine Mutter, die hatte doch gerne gekümmelt. Und da hat sie dann einen Kümmel hingestellt und in Gläschen drinn. Und wenn ihr dann wieder mal wieder Energie fehlte, denn hat sie sich die Tür so heimlich offgemacht und sich so reingestellt in Schrank. Und getrunken. Und alles wußtens. Wir Kinder zumindest wußtens und Vater auch. Nicht daß sie gesoffen hätte, aber immer mal so Schlückchen als Bonbon. (*Lacht*)

### *Erzähler:*

Wir sind bei unserem Rundgang wieder an dem weitgereisten Schrank der Amerikanischen angekommen. Daneben steht ein Campingtisch, auf dem stehen Gläser mit goldgelbem Heidehonig. Den haben Heinrichs Bienen gesammelt. Die aufgereihten Gläser warten auf die Strittmatter-Reliquien-Einkäufer. Der Preis pro Glas ist fast wie zu Erwins Zeiten. Es ist ein Handel, bei dem es um die Idee geht. Eine solche Handelsmotivation gab's nicht mal zur „Loaden-Zeit“ der Mutter.

### *O-Ton Heinrich Strittmatter:*

Auf den Bauch des Glases kommt der Absender drauf, normal geschrieben. Hein-

Stuhowisko dokumentalne:

## Brat Heinrich Prawdziwa historia sklepu Strittmatters

(cz. 3)

**Matthias Körner**

**Produkcja: mdr 2000**

**Reżyseria: Wolfgang Rindfleisch**

**Redakcja: Kathrin Kiehl**

### *Heinrich Strittmatter:*

Tutaj był pierwszy firmowy szyld: „Pieczywo i Artykuły Spożywcze Heinrich Strittmatter”. Na początku taki był, potem go powiększono, bo oprócz artykułów spożywczych sprzedawaliśmy też towary kolonialne.

O tej starej szafie też była mowa w powieści. Moja matka bardzo lubiła kminkówkę. I tam właśnie postawiła butelczynę, z której sobie polewała do szklaneczki. I za każdym razem, kiedy tylko brakowało jej energii, cichaczem otwierała drzwi i chyłkiem zakradała się do szafy. I piła. I wszystko jasne. Przynajmniej dla nas dzieci było wszystko jasne i dla ojca też. Nie to żeby się upijała, ale za każdym razem podkładała łyżeczka jak cukierka. (*śmieje się*)

### *Narrator:*

Obchodząc wszystko w koło z powrotem znaleźliśmy się koło amerykańskiej szafy podróżniczki. Obok niej stał stolik campingowy, na którym były słoiki z żółto-złotym miodem wrzosowym, zebranych przez pszczoły Heinricha. Poustawiane w rzędy słoiki czekały na nabywców strittmatterowskich relikwii. Cena za sztukę prawie taka sama jak za czasów Erwina. To taki handel, w którym chodzi o ideę. Takiej motywacji nie było za czasów matczynych rządów.

### *Heinrich Strittmatter:*

Na wypukłym słoiku były umieszczone dane producenta: „Heinrich Strittmatter Bohsdorf, Dorfstraße 37” wraz z numerem

telefonu. I wielu przybywających tutaj z zewnątrz bardzo chciało mieć właśnie coś takiego. Chcieli mieć coś z imieniem Strittmatters, aby móc powiedzieć: byliśmy w sklepie u Strittmattersa i kupiliśmy miód.

Goście zwiedzający sklep cieszą się, że mogą mieć coś w rękę, co pochodzi właśnie stąd.

Sądzę, że jak już powstanie muzeum, które przecież chcemy tu w sklepie urządzić i nie będzie już tutaj sprzedaży, ludzie nadal będą zachodzić do mnie tam od tyłu i prosić: „chcielibyśmy jeszcze kupić choć jeden słoik miodu z pańskim adresem”. Miód jest znany aż do Berlina. Słoiki były wysyłane nawet do Szwajcarii. Nad Morze Północne również. Niedawno ktoś mi pisał, że miód z moim nazwiskiem wysłał do Czech. Powiedziałem, że nie potrzebuję aż takiej reklamy. Tak, pisano mi, że to cudowny miód.

**Narrator:**

Pszczoły, to domena Heinricha, a nie tradycja Strittmattersów. A pisanie? Byłażby to tylko domena Erwina? I pytam Heinricha o jego próby literackie.

**Heinrich Strittmatter:**

Tak, napisałem potem jeszcze kilka bajek dla swoich dzieci. W tym czasie, kiedy pierwszy sputnik poleciał w kosmos. Napisałem wtedy kilka futurystycznych bajek. Dwie lub trzy napisałem.

*(śmieje się):* ...poprzednik „Sklepu”...

rich Strittmatter Bohsdorf, Dorfstraße 37. Und die Telefonnummer dazu und viele, die von außerhalb kommen, die wollen das eben gerne haben. Die wollen eben mit dem Strittmatter-Namen sagen, wir waren bei Strittmatters in dem Laden und haben Honig gekauft.

Die Besucher, die den Laden besucht haben, freuen sich, daß sie was in der Hand haben, was aus diesem Laden ist.

Ich glaube wenn das Museum eingerichtet ist, was wir ja einrichten wollen in diesem Laden und der Verkauf nicht mehr da ist, werden sie wohl doch hintenrum noch zu mir kommen und sagen: Ein Glas Honig nehmen wir gerne noch mit, mit Ihrer Adresse.

Der Honig ist bis Berlin bekannt. Da sind Honiggläser schon bis in die Schweiz geschickt worden. An der Nordsee, da ist er auch schon. Neulich schrieb mir jemand: ins Böhmsche hat er den Honig geschickt mit meinem Namen. Ich sag, na soviel Reklame braucht ihr ja nicht zu machen. Ja, die ham geschrieben, daß ist ein wundervoller Honig.

**Erzähler:**

Die Bienen, das ist Heinrichs Sache. Da gibt es keine Strittmattersche Tradition. Und das Schreiben? War das nur Erwins Sache? Und ich frage den Heinrich nach eigenen Schreibanstrengungen.



### **O-Ton Heinrich Strittmatter:**

Ja ich hab dann noch een paar Kindermärchen für meine Kinder geschrieben. Zu der Zeit, als der erste Sputnik in die Luft ging. Da habe ich dann ein paar Zukunftsmärchen gemacht. Zwei oder drei habe ich geschrieben.

*(Lacht):*... Vorgänger fürn „Laden“....

### **Erzähler:**

Also hätte eigentlich der Laden auch vom Heinrich geschrieben werden können. Aber der Erwin war eben schneller.

Vor Heinrichs Fenster gestikuliert eine Familie. Die Frau hangelt sich am Tor hoch und sieht in den Hof und zuckt mit den Schultern und fragt Heinrich, der den Kopf zum Fenster raussteckt, ob es stimmt, daß hier der Film gedreht wurde.

Und das „Nein“ ist die große Enttäuschung der Bohsdorfer. Sie sind zu heftig „mit der Zeit gegangen“, angestachelt von der Strittmatter-Mutter, die in ihrem Laden die Moderne nach Bohsdorf brachte. Das vereitelte den Traum der Bohsdorfer, daß ihr Dorf in dem Film die Bosssdom-Kulisse abgibt. Roddan, für die alten Bohsdorfer ein Dorf im Nebel der Weite, hat lange genug den Atem der Zeit angehalten. Hier sieht alles viel echter nach Lausitz aus als in der Lausitz. Lothar Holler der Szenenbildner des Laden-Films hat das Dorf gefunden.

### **Lothar Holler** (mit Kneipengeräuschen):

Wir haben uns den Laden vor Ort angesehen. Es ging darum, ein Dorf zu finden, was 1919 noch zuläßt. Bohsdorf stand zwar noch, aber das ganze Umfeld war umgestaltet. Die Lausitz, mußte ich feststellen, ist also eine schnellebige Landschaft. Durch den Kohleabbau und die Industrialisierung geht also een richtiger Ruck durch die Landschaft, also alle 20 bis 30 Jahre geht ein Riesenruck durch die Landschaft. Da wird also och alles anders gemacht. Grundlegend wird verändert. Flüsse werden umgeleitet.

### **O-Ton Erwin Strittmatter liest aus dem „Laden“:**

Es weht ein Wind von den Eichen herüber. Die Kutscher klappen die Türen zu. Sie sperren das Windchen aus Bosssdom mit ein. Sie

### **Narrator:**

A więc powieść „Sklep” mogła być właściwie napisana również przez Heinricha. Erwin jednak był szybszy.

Pod oknem Heinricha gestykuje jakaś rodzina. Kobieta uczepliła się bramy i zagląda do środka na podwórze. Wzrusza ramionami i pyta Heinricha, który właśnie wystawił głowę za okno, czy to prawda, że kręcono tutaj film.

„Nie”, które padło w odpowiedzi było wielkim rozczarowaniem dla mieszkańców Bohsdorfu. Niestety, zachęceni przez panią Strittmatter, która wraz ze swoim sklepem wniosła też powiew nowoczesności do Bohsdorfu, za daleko zaszli „idąc z duchem czasu”. Zniweczyło to marzenia mieszkańców, że ich miejscowość mogłaby oddać w filmie charakter powieściowego Bosssdomu.

Roddan, wieś ledwo pamiętana przez starszych mieszkańców Bohsdorfu, wystarczająco długo wstrzymała oddech czasu. Wszystko wygląda tu prawdziwiej i bardziej przypomina Łużyce niż same Łużyce. Na wioskę tę trafił Lothar Holler, autor scenografii do filmu.

### **Lothar Holler** (w tle gwar rozmów w barze)

Obejrzeliliśmy sobie sklep na miejscu. Chodziło o to, aby znaleźć taką miejscowość, która przypominałaby tę z 1919 r. Bohsdorf wprawdzie istniał jeszcze, ale całe otoczenie wioski wyglądało zupełnie inaczej. Krajobraz Łużyc, stwierdziłem, ulega przeobrażeniom w tempie ekspresowym. Za sprawą wydobycia węgla i uprzemysłowienia okolicę dotknęło prawdziwe tąpnięcie, a stało się to w ostatnich 20-stu do 30-stu latach, kiedy to krajobraz dotknęła rewolucja. Wszystko się zmieniło, i to zasadniczo, przekierowano bieg rzek.

### **Erwin Strittmatter czyta fragment powieści „Sklep”:**

Wieje wiatr od strony dębów. Woźnice zatraskują drzwi, zamykając w środku mały wicherek z Bosssdomu. Zabierają go ze sobą do miasta, gdzie zostanie uwolniony. Tam zmiesza się z miejskim powietrzem, ze smrodem, który unosi się z rynsztoków. Całkowicie się jednak nie rozplynie, będzie żyć dalej, jako mniejszość, jako wiaterek, który niegdyś owiewał liście naszych dębów,

nawet wtedy, kiedy nosy nie bardzo będą chciały temu wierzyć.

Powiedziałem naszym dębów? Jestem tutaj już u siebie?

Woźnice bagażowych furmanek odpinają torby na obrok. Zabierają koniom sprzed pysków wyskubany do ostatniego ździebelka step i wyprowadzają zwierzęta. Wskakują na siedzisko i przecinają końcem bata powietrze na dwie części, które z trzaskiem schodzą się z powrotem. Nadciga sześciokonny zaprzęg. Furmanka nawraca przed naszym domem.

Powiedziałem naszym domem?

Mieszkańcy wioski pakują swoje narzędzia i idą do wsi. Po drodze przemysłują, jak mają nas, *nowych*, włączyć w ten cały organizm, jakim jest ich wieś.

**Narrator:**

Dęby z „Pod Dębami” już dawno ścięto. Stały na drodze nowemu „sklepowi”, dużemu wiejskiemu spożywczakowi. Sklep matki już nie wystarczał. Pozostał zarzut Erwina, że jego brat, Heinrich nic nie zrobił w obronie dębów. Pozostał tylko jeden.

Dzisiaj gościom bardzo brakuje tych dębów z „Pod Dębami”.

**Heinrich Strittmatter:**

Tutaj mnie odwiedzali. Może znajdę pod dębami jeszcze jakiś dąb, mówił taki jeden i szukał gdzieś na zewnątrz jakichś małych dębowych samosiejek.

nehmen das Lüftchen mit in die Stadt. Dort wird es entweichen, wird sich mit Stadtluft mischen, mit dem Gestank, der aus Rinnsteinen steigt, ganz aufgeben aber wird es sich nicht, in Minderheit wird es weiterleben, als Lüftchen, das einmal durch die Blätter unserer Eichen ging, auch wenns unsre Nasen nicht glauben wollen.

Habe ich unsere Eichen gesagt? Bin ich schon heimisch hier?

Die Möbelkutscher schnallen die Futterbeutel ab. Sie nehmen den Pferden die leergegraste Steppe von den Mäulern, und sie strängen die Tiere an, und sie steigen auf den Sitz, und sie spalten die Luft mit den Peitschenriemen, und die Luft fährt knallend wieder zusammen. Der Sechser-Zug zieht an. Der Möbelwagen wendet vor unserem Haus.

Habe ich unser Haus gesagt?

Die Dorfleute packen ihre Arbeitsgeräte, gehen dorfeinwärts und sinnen nach, wie sie uns, die *neuen Leute*, in den Organismus, der ihr Dorf ist, einbeziehen werden.

**Erzähler:**

Die Eichen von Unter Eechen sind längst gefällt. Sie standen einem neuen „Laden“, dem Dorfkonsum im Wege. Der Laden der Mutter genügte nicht mehr. Und es blieb Erwins Vorwurf, daß Bruder Heinrich nichts gegen das Fällen unternommen hatte. Nur eine Eiche blieb stehen.





Heute vermissen die Besucher die Eichen von „Unter Eechen sehr“.

**O-Ton Heinrich Strittmatter:**

Die ham mich hier besucht. Vielleicht finde ich unter Eechen noch ne Eiche, hat der Mann gesagt und draußen nach Sämlingen gesucht.

Jetzt hab ich doch noch eine gefunden, sagte er. Aber das war keine Eiche das war Esche, hab ich ihm gesagt.

Der hat später ne niedliche Karte geschickt, die über meinem Arbeitsplatz hängt. Mit blühendem Baum, Text will ich auch noch vorlesen:

Schöne Landschaft drauf, auf dem Bild und darunter steht:

Man kann einen seligsten Tag haben ohne etwas anderes dazu zu gebrauchen als blauer Himmel und grüne Frühlingserde.

Das ist ein Ausspruch von Jean Paul.

Das Kärtchen hat er mir mitgeschickt und das hat mir so gut gefallen daß ich es gleich in einen Rahmen gemacht habe und hier über meinen Arbeitsplatz gehängt habe. Das ist wunderschön anzugucken. In der Natur, wenn es draußen kalt ist fühlt man sich richtig erwärmt.

Ich dachte machst ihm ne Weihnachtsfreude und habe Weihnachtskärtchen und Eicheln geschickt.

Dann kam Antwort: Se konntn mir keine größere Freude machen. Das schönste Geschenk was ich zu diesem Weihnachtsfest bekommen habe. Ich werde versuchen, alle Eicheln zu Pflanzen zu ziehen.

Habe ich mich gefreut, daß ich ihm eine Freude gemacht habe.

**Erzähler:**

Heinrich Strittmatter zeigt mir noch Fotos vom Umbau des Ladens zum Museums: Schwarze Feuchtigkeitsränder durchziehen den Putz wie Jahresringe. Der Fußboden ist ausgeschachtet. Wo sind sie hin die Fußbodensteine mit den Abriebspuren durch Heidesand, Holzpantinen, Stiefel von Bauern, Russen und Bergarbeitern, mit den Kratzern durch die Reitstiefel der Frau Baronin und mit den Schleifspuren der zu engen und deshalb hühneraugenproduzierenden Stadtschuhe der Mutter?

Znalazłem jednak jeszcze jeden, mówił. Ale to nie był dąb, tylko jesion, powiedziałem do niego.

Przysłał mi później śliczniutką kartkę, która wisi nad moim miejscem pracy. Z kwitnącymi drzewami, chciałbym odczytać też tekst:

Piękny krajobraz na tym obrazku, a pod spodem:

Można przeżyć swój najszczęśliwszy dzień, nie potrzebując do tego niczego więcej jak błękitnego nieba i zielonej, wiosennej ziemi.

To jest sentencja Jean Paula.

Przesał mi kartkę, tak mi się ona spodobała, oprawiłem ją zaraz w ramki i powiesiłem sobie tutaj, nad moim miejscem pracy. Wspaniale się na nią patrzy. W rzeczy samej, jeśli na dworze jest zimno, człowiek czuje się naprawdę rozgrzany.

Pomyślałem sobie, żeby mu sprawić radość na święta i przesałem kartkę bożonarodzeniową, wraz z kilkoma żółędziami.

Odpowiedział: „Nie mógł mi Pan sprawić większej radości. Najpiękniejszy prezent jaki dostałem w tym roku. Postaram się z każdego żółędzia wyhodować sadzonki”.

Bardzo się z tego ucieszyłem.

**Narrator:**

Heinrich Strittmatter pokazuje mi jeszcze zdjęcia z przebudowy sklepu na muzeum: czarne obwódki znaczone przez wilgoć przeciągały wzdłuż tynku jak coroczne słoje na drzewach. Wykopano podłogę. Gdzie podziały się kamienne płyty podłogowe, wytarte od piasku z wrzosu, przez drewniane chodaki, buciska chłopów, ruskich i górników, porysowane przez buty do jazdy konnej pani baronowej, gdzie znać też było ślady otarć zbyt wąskich i dlatego też notorycznie będących przyczyną odcisków miejskich butów matki?

**Heinrich Strittmatter:**

Każdy czytelnik z początku wyobraża sobie sklep inaczej. Każdy ma oczywiście jakieś fantazje na jego temat, lub też odnosi swoje wyobrażenia do jakiegoś znanego małego sklepiku. Niektórzy z kolei myślą sklep w swoich wyobrażeniach z niewielką

halą targową. Tacy wchodzą do środka bardzo zdziwieni: „ach to jest ten sklep!? A nie był on większy?!” Nie, mówię wtedy, nigdy nie był większy.

Kiedy matka zrezygnowała ze sklepu, przejęła go Spółdzielnia Spożywców Konsum. Wówczas byłem tutaj i mogłem lub musiałem lub też po prostu przejąłem sklep, jako kierownik punktu sprzedaży z ramienia Spółdzielni. Trwało to jakieś 2-3 lata, jak tu pracowałem. Potem w samej wsi postanowiono założyć Spółdzielnię, a mnie wysłano do spółdzielczej szkoły, na jeden kwartał. Gdy wróciłem tutejsza Spółdzielnia Spożywców Konsum, z siedzibą w Horno już działała. A ja miałem 42 punkty sprzedaży, które do niej należały, jako prezes zarządu.

I tym właśnie się zajmowałem, do czasu aż Spółdzielnia Spożywców Konsum została rozwiązana.

***Narrator:***

To w tej historii jest miejsce, w którym handel w Bohsdorfie i okolicy oraz żywot i codzienne funkcjonowanie Strittmatteredów ponownie się rozdziela. Dopiero czasy współczesne przynoszą ich kolejne zejście: turyści przyjeżdżający do sklepu bardzo mocno nakręcają w Bohsdorfie koniunkturę.

Heinrich Strittmatter po zakończeniu swojej przygody w Konsumie obrał inną drogę.

***O-Ton Heinrich Strittmatter:***

Jeder Leser stellt sich den Laden erst mal anders vor. Aber jeder hat seine eigne Phantasie oder Vorstellung, oder vergleicht es mit irgend eem andern kleen Kramladen. Manche verwechseln das schon wieder mit ner kleenen Kaufhalle. Und wenn se dann reinkommen: „Ach das ist der Laden!? War der nicht größer?!” Ne sage ich dann, der war nie größer.

Als meine Mutter Laden aufgegeben hatte, hat der Konsum übernommen.

Und da war ich hier und konnte oder mußte oder habe den Laden übernommen als Verkaufsstellenleiter vom Konsum.

Das hat 2-3 Jahre gedauert da habe ich hier gearbeitet. Dann wurden diese Dorfkonsumgenossenschaften gegründet. Und da ham se mich off Konsumschule geschickt, een Vierteljahr. Und wie ich wiederkam, dann wurde die Dorfkonsumgenossenschaften hier gemacht, mit dem Sitz in Horno. Und ich hatte die 42 Verkaufsstellen, die dazugehörten, als Vorstandsvorsitzender.

Und das habe ich gemacht bis die Dorfkonsumgenossenschaften wieder offgelöst wurde.

***Erzähler:***

Das ist in der Geschichte die Stelle, an der sich der Handel in Bohsdorf und Umgebung und die Strittmatterschen Lebenslinien wieder



trennen. Erst in der Gegenwart nähern sie sich wieder: Die Ladentouristen kurbeln das Geschäft in Bohsdorf kräftig an.

Heinrich Strittmatter ging nach seiner Konsum-Zeit andere Wege.

**O-Ton Heinrich Strittmatter:**

Damals bin ich dann nach Lübbenau gekommen zum Kraftwerksbau. Durch meine Frau, die ich dann kennengelernt habe. Später habe ich mich noch mal off die Schulbank gesetzt und hab den Baumaschinisten gemacht. Und hab dann 17 Jahre lang Kräne gefahren und die Häuser mit aufgebaut und dann Bagger gefahren bis zum hohen Rentenalter. Ich hab ja nicht bis 65 sondern bis 67 habe ich gearbeitet.

**Erzähler:**

In dem Ladenmuseum fehlen jene Spuren von Vergangenheit und Vergänglichkeit wie ich sie noch auf den Baufotos entdeckt habe. Alles ist geschniegelt. Heinrich schließt die Ladentür ab und verspricht mir als große Ausnahme noch einen Aufstieg zu Originalen.

**O-Ton Heinrich Strittmatter:**

Das ist die Treppe zu dem Rumpelboden. Wo wir noch schnell roffgehen wollen.

Das ist alles was de im Film gesehen hast. ...So jetzt kommen wir ins Paradies.

**Erzähler:**

Während Heinrich den undichten Stellen de Daches nachspürt, betrachte ich das gigantische Sammelsurium an Krimskrams auf dem Boden. In Regalen, in Schachtel, auf und in Schränken deren Türen offenstehen, auf Bänken und Kisten, in Fässern und Tüten, überall Requisiten aus der Strittmatterschen Familiengeschichte:

Küchenmöbel von der Mutter, Fleischwölfe. Messerputzmaschinen, Stiefelknecht, elektrischer Futterdämpfer...

**O-Ton Heinrich Strittmatter:**

Das war die erste elektrische Waschmaschine, die es gab

Das sind noch Teile von unserem Kinderspielzeug. Stabilbaukasten, wenn de das kennst. Das war mein wunderbarstes Geschenk, was ich mal zu Weihnachten gekriegt habe.

Da hat der Erwin mitgemacht und mich droff gebracht, das nach Vorlage zu bauen.

**Heinrich Strittmatter:**

Wówczas trafiłem do Lübbenau, na budowę elektrowni. Za sprawą mojej żony, którą wtedy poznałem. Później jeszcze raz trafiłem do szkolnej ławy, gdzie zrobiłem operatora maszyn budowlanych. A potem przez 17 lat pracując na dźwigach obrotowych, budowałem domy. Później znów, aż do późnego wieku emerytalnego jeździłem koparką. Pracowałem przecież nie do 65. lat, ale aż do 67. roku życia.

**Narrator:**

W Muzeum Sklepu brakowało tamtych śladów przeszłości i krótkotrwałości, które udało mi się jeszcze odkryć na zdjęciach z przebudowy sklepu. Wszystko jest pięknie wypieszczone i wychuchane. Heinrich zamknął na klucz drzwi od sklepu i obiecał mi w drodze wielkiego wyjątku jeszcze jedną wycieczkę na górę – do autentycznych śladów historii.

**Heinrich Strittmatter:**

To są schody do graciarni na strychu. Gdzie jeszcze chcemy na sekundę wejść.

To jest wszystko, co widziałeś w filmie.

...A zatem teraz wkraczamy do rajy.

**Narrator:**

Podczas gdy Heinrich tropił dziury w dachu, przyglądałem się gigantycznej zbieraninie różnego rodzaju gratów, walających się po całym strychu. Na regałach, w pudłach, w szafach i na szafach, stojących szeroko otworem, na ławkach i skrzyniach, w beczkach i torbach, wszędzie rekwizyty z rodzinnej historii Strittmatterów. Meble kuchenne matki, maszynki do mięsa, zmywarki do noży, pacholek do butów, elektryczny pochłaniacz zapachów...

**Heinrich Strittmatter:**

To była pierwsza pralka elektryczna, jaka się ukazała.

To są jeszcze elementy z naszych zabawek dziecięcych. Pudełko z klockami, jeśli sobie przypominasz. To był mój najwspanialszy prezent, jaki dostałem na gwiazdkę. Erwin brał w tym udział, pokazał mi też jak budować z klocków według wzoru.

To były puszki na cukierki. Tak kiedyś pakowano cukierki. A kiedy nie zostały zaraz

jeden za drugim wyprzedane, wszystkie zaraz sklejały się w jedną bryłę. Wtedy matka robiła z nich cukierkowy gruz. Rozdawała go później klientom dla dzieci, tym, którzy robili zakupy za więcej niż 10 marek.

Było jeszcze łóżko moich rodziców. Boki łóżka, materac między nimi (*jakiś kot się przestraszył i zaczął miauczeć*). No Miszka, co z tobą?

**Narrator:**

Tutaj na sklepowym strychu czas kręci się chaotycznie w kółko. Manifest Partii Komunistycznej autorstwa Karola Marksa leży obok którejś edycji żurnala mody Vobachs. Lokalna gazeta „Lausitzer Rundschau”, która właśnie świętuje okrągłą rocznicę powstania DDR, za sąsiada ma starą pompę do nafty, będącą niegdyś częścią wyposażenia sklepu.

**Heinrich Strittmatter:**

To była dziecięca wanienska. Cynkowa. Ja już byłem kąpany i Erwin także.

(*Heinrich myszkował dalej*)

Coś tu jeszcze pachnie, musiały tu być perfumy.

Kostka rosółowa Knorra też jeszcze sprzed wojny. Tam z tyłu stoi maszynka do krojenia chleba. Stała z tyłu w kuchni, mama nie specjalnie lubiła opierać cokolwiek o pierś, dlatego też wolała kroić chleb na maszynce.



Das waren Bonbonbüchsen. So wurden Bonbons angeliefert. Und wenn die nicht hintereinander verkauft wurden, sind die och alle zusammengeklebt. Dann hat meine Mutter gestäkert und übrig blieb bloß noch Bonbongrus. Das hat se dann, bei denen, die über 10 Mark eingekooft ham, für die Kinder mitgegeben.

Das war noch das Bettgestell von meinen Eltern. Bettwände, Matratze dazwischen (*eine Katze wird aufgeschreckt und mauzt*) Na Mischka. Was ist mit dir.

**Erzähler:**

Hier auf dem Laden-Boden ist die Zeit durcheinandergewirbelt. Das Manifest der Kommunistischen Partei von Karl Marx liegt neben einer Ausgabe von Vobachs Modenzeitung, die Lokalzeitung „Lausitzer Rundschau”, die einen runden DDR-Geburtstag feiert hat die Petroleum-Pumpe aus der alten Ladenausrüstung zur Nachbarschaft.

**O-Ton Heinrich Strittmatter:**

Das war die Kinderbadewanne. Ne Zinkbadewanne. Da bin ich och schon drin gebadet worden und der Erwin och.

(*Heinrich schnüffelt*)

Ja das riecht noch een bißchen, muss Parfüm gewesen sein.

Knorr Suppenwürfel ist och noch von vorm Kriege. Hinten steht noch eene Brotschneidemaschine. Die hatten wir hinten in der Küche, weil meine Mutter nicht gerne was



gegen die Brust gestemmt hat. Die hat lieber mit Maschine die Schnitten abgeschnitten.

Das ist ne Mohnmahle, Der muß erst vorm Backen durchgequetscht worden. Die stand in der Backstube. Da sind die Leute mit selbst geerntetem Mohn gekommen: Wir wollen Kuchen backen, kannst nicht mal schnell zwee Pfund Mohn malen.

Ja wenn sich niemand drum kümmert, dann geht es och den Bach runter. Aber der Verein hat schon alles notiert, was hier ist.

*(schaltet einen alten Lichtschalter)*

Die Schalter hat der Erwin och immer noch angeguckt überall. Hat sich gefreut, daß se noch da sind.

Ich dachte immer was rennt der denn immer so rum und guckt, dabei hat er een Roman geschrieben. Da waren eben sogar die Schalter vertraute Leute.

*(Wir gehen die Treppe vom Boden hernter, die Treppe quietscht)*

**Erzähler:**

Das Quietschen der Treppe ist geblieben. Nur die Raschel-Melodie der Eichenblätter fädelt sich nicht mehr dazwischen. Der neue Laden an der Stelle der Eichen ist längst geschlossen. Die Bohsdorfer fahren in den Lausitz-Center einkaufen. Dort gibt es auch Brot. Das schmeckt wie überall. Der Fortschritt ebnet längst auch Bohsdorf ein. Herausragen wird vielleicht künftig ein Strittmatter-Denkmal, das von Verein schon „angedacht“ ist. Wird der Pferdenarr Erwin dann hoch zu Roß in sein Kindheits-Dorf sehen? Was werden ihm die Reiter-Standbild-Denkmal-Macher statt des Schwertes in die Hand drücken? Oder wird es ein ganz modernes Denkmal, ein Hologramm, wie auf der EC-Karte, nur eben viel größer. Und aus verschiedenen Blickwinkeln ändert sich der Kopf, verwandelt sich vielleicht sogar in den Heinrich?

Und in der Edelstahlfläche ringsum spiegelt sich nur noch Vergangenheit.

Wo wird dann der Spiegel stehen, der die Geschichten des Dorfes zu großer Geschichte spiegelt?

Ist der Film vielleicht ein solcher Spiegel? Ich frage den Szenenbildner des Laden-Films Lothar Holler.

A to jest młynek do mielenia maku, który dopiero tuż przed pieczeniem powinien być przetarty. Młynek stał w piekarni. Przychodzili do nas ludzie z własnym, zebrany przez siebie makiem i zagadywali: „Chcemy upiec ciasto, nie zmieliłbyś szybko dwa funty maku?”

Tak, jak nikt się o to nie troszczy, to wszystko się w palcach rozłazi. Ale stowarzyszenie wynotowało już wszystko, co tu jest.

*(włączył stary kontakt)*

Erwin też zawsze wypatrywał tych starych kontaktów. Cieszył się, że jeszcze są.

Zawsze zastanawiałem się, co on tak biega wkoło i patrzy, a on przy tym swoim bieganiu napisał książkę. Ludzie wierzyli, że nawet te kontakty tam są.

*(schodzimy po skrzypiących schodach ze strychu)*

**Narrator:**

Skrzypienie schodów pozostało. Tylko szeleszcząca melodia dębowych liści nie spłynie już spomiędzy nich. Nowy sklep, który powstał w miejsce dębów, jest od dawna zamknięty. Mieszkańcy Bohsdorfu jeżdżą na zakupy do Centrum Łużyckiego. Tam też jest chleb, który smakuje jak wszędzie. Postęp równa też wieś Bohsdorf. W przyszłości sterceć będzie być może tylko pomnik Strittmattera, który jest już w zamyśle stowarzyszenia. Czy Erwin, maniak koni, spojrzy jeszcze kiedyś na wieś swojego dzieciństwa z wysokości konia? Co wcisną mu do ręki zamiast miecza Inicjatorzy-Posągu-Statuy-Jeźdźca? A może będzie to całkiem nowoczesny pomnik, hologram, jak na karcie bankomatowej, tylko znacznie większy. I z różnych kątów widzenia zmieniać się będzie głowa, być może przeobrażać się będzie nawet w głowę Heinricha? A powierzchnia ze szlachetnej stali dookoła odbijać będzie przeszłość. Tylko gdzie będzie stało lustro, które historię wsi odbije w wielką historię?

A może film jest tym lustrem? Pytam Lothara Hollera, scenografa filmu „Sklep”.

**Lothar Holler:**

To przecież nie są świetne, zadziwiające obrazy. To są codzienne rzeczy, pudełka

zapalek, butelki mleka, siatki z zakupami, to właściwie podkreśla życie i je tworzy. Świece, jak one wyglądają, te rzeczy, to nie jest piękny obraz. Ale w ten sposób tych wszystkich codzienności jeszcze nikt nie zebrał, one zostały tu użyte.

Co jak zafunkcjonowało, to trzeba wiedzieć.

Jedno, to historyczny materiał o Strittmatterze uczynić możliwie autentycznym, ale to prowokuje, kusi aby stworzyć więcej planów w tle, pokazać więcej politycznych i filozoficznych związków.

**Erwin Strittmatter czyta fragment powieści „Sklep”:**

Spaceruję także trochę wieczorami. Spoglądam na kwitnące niebo. Gwiazda stoi obok gwiazdy, jak godziny – jedna obok drugiej – chociaż jedna pięć, a druga kolejne dziesięć lat świetlnych jest ode mnie oddalona. Ja, kulejący starzec, będę zatem dla obserwatora w kosmosie za pięć lub za dziesięć lat jego terażniejszością.

**Narrator:**

Czas upływa. Ostatnia filmowa mgła już dawno się rozplynęła, jak wiatr od strony „dębów”, który zniknął w dalekim i szerokim świecie.

Znów stoję z Heinrichem Strittmatterem w sklepie. Wszystko jest tak jak udekorowane na scenie w teatrze. Z trudem przychodzi mi wyobrazić sobie, że właśnie przedstawiono prawdziwe życie. W budynku Konsuma zaraz obok powstało w międzyczasie miejsce spotkań Stowarzyszenia Erwina Strittmattersa. W tym samym miejscu zatem, w którym niegdyś wiatr podwiewał dębowe liście.

Heinrich Strittmatter przejechał płaską dłonią po sklepowej ladzie, jakby zmiatał ostatni okruch. Potem strzelił szelkami i wyszedł z nowego Starego Sklepu. I nagle tak jak Bosssdom rozwiął się wraz z wiatrem.

**Tłumaczenie Grzegorz Gorzechowski**

**Lothar Holler:**

Es sind ja nicht die tollen Bilder. Die täglichen Sachen sind's die Streichholzsachteln, die Milchflaschen, die Netze, die Brotnetze, das macht das Leben ja eigentlich aus. Die Kerzen, wie sahen die aus, diese Dinge, Nicht een tolles Bild. Aber so Alltäglichkeiten hat keiner gesammelt, die wurden verbraucht.

Wie was funktioniert hat, das muß man wissen.

Das eine ist, den historische Stoff Strittmatter, authentisch zu machen, aber es reizt einen mehr die Hintergründe zu inszenieren, mehr die politischen und philosophischen Zusammenhänge.

**O-Ton Erwin Strittmatter liest aus dem „Laden”:**

Ich gehe auch nachts ein wenig umher, sehe mir den blühenden Himmel an. Stern steht bei Stern, als Stunden sie nebeneinander, obwohl einer fünf und ein anderer zehn Lichtjahre von mir entfernt ist. Ich, der hinkende Alte, werde also für einen Beobachter im Kosmos nach fünf oder nach zehn Jahren Gegenwart sein.

**Erzähler:**

Zeichen vergeht. Der letzte Nebel im Film ist längst verflogen, wie der Wind von „die Eechen“, der sich im Möbelwagen in die große weite Welt verflüchtigte.

Ich stehe wieder mit Heinrich Strittmatter im Laden. Alles ist wie bei der Dekoration auf der Theaterbühne. Mit fällt die Vorstellung schwer, daß sich hier einmal richtiges Leben abgespielt hat. In dem Konsumgebäude nebenan ist inzwischen eine Begegnungsstätte des Erwin-Strittmatter-Vereins. An jener Stelle also, wo einst der Wind in die „Eechen“ fuhr.

Heinrich Strittmatter fährt mit der flachen Hand über die Ladentheke, als gelte es, letzte Krümel wegzuwischen. Dann schneppt er mit seinen Hosenträgern und geht aus dem neuen Alten Laden. Und plötzlich ist mir, als sei auch Bosssdom verweht.

### Nawiedzony

pojawiła się  
otworzyła skrzydła  
drzwi  
błyskawicą oczu  
uniosła skrawek  
błękitu  
który to już raz  
nawiedził mnie anioł  
w uścisku bram

### Pocałunek

zamilkliśmy  
w kroplach spojrzeń  
nurkowaliśmy  
jakbyśmy mieli wypowiedzieć  
zakłęcie  
tyle słów w milczeniu  
zasialiśmy  
o zachodzie rumieńców  
zerwaną  
poziomką ust  
przemówiliśmy

\*\*\*

pamiętasz

tamtej nocy  
tak blisko  
na jeden oddech  
ujrzeliśmy  
prześwitujące niebo

w sieci gwiazd  
wyłowiłem blask  
a ty wskazałaś  
mleczną drogę

na tarczy nieba  
jednym ruchem warg  
odczytaliśmy przyszłość

pamiętasz



# Wtedy i teraz

**Andrzej K. Waśkiewicz**

---

## Niesforny kosmyk

Widziałem, więc literackie obrazy mam za prawdziwe. Pod koniec siódmej klasy, chyba na godzinie wychowawczej, ale nie ręczę, przyszedł do nas kolega z ZMP. Jakoś nie potrafię sobie przypomnieć czy w klasie była katedra czy tylko stół. Pamiętam tylko, że na pewno stał, nie siedział. Pewnie, bo i tego nie pamiętam, opowiadał nam, że gdy już skończymy szkołę będziemy mogli wstąpić do Organizacji. I pewnie o tej Organizacji, jej roli i o tym, jakim to zaszczytem, ale i trudnym obowiązkiem, jest należenie do niej nam mówił. Nie pamiętam, a nie chcę o tym, co słyszałem opowiadać wedle utrwalonych w pamięci powieściowych wersji. Był wysoki, szczupły; blondyn w zielonej koszuli z czerwonym krawatem. Mówił, i w pewnym momencie stało się to, co utrwalili pisarze: gwałtownym, a może tylko – niecierpliwym ruchem głowy odrzucił opadający na czoło niesforny kosmyk. Bo uczesany był, myślę, wedle normy: do góry. A wtedy, by ów niesforny kosmyk odrzucić, trzeba głowę wpieryw pochylić, a potem gwałtownie podrzucić do góry. Chyba nie czesał się na bok, bo wówczas ruch jest inny – do dołu z lewa a potem do góry na prawo. Muszę sprawdzić jak to wyglądało w filmach z epoki. Pewnie też zostało utrwalone. Na niemieckich filmach o kilkanaście lat wcześniejszych jest; ale wtedy młodzieńcy czesali się na bok.

24 VI 2004

## Droga

Chodziłem tą drogą codziennie – do szkoły i ze szkoły. U jej końca był most, drewniany, z dziurą w środku. Musiała w ten most walnąć bomba, albo może ktoś rzucił granat, a potem przez tę dziurę przerzucono kładkę wiszącą na linach, wąską i chybotałą, ale z poręczami. Mówiliśmy na nią: ponton. A potem z mostu wchodziło się pod górę. Z prawej strony był sklep, z lewej, nieco dalej szkoła. Ale teraz nie o niej, lecz o drodze. A raczej o kamieniach, które wzdłuż niej (z lewej strony gdy szedłem do szkoły, a z prawej gdy z niej wracałem) leżały w starannie ułożonych przyzmaczkach. Granitowa kostka. Droga była zwykła, gruntowa. Gdy padało, rozmiękała. Więc pewnie miała być wybrukowana, albo może nawet wyasfaltowana i ta kostka miała być podkładem. Nie zdążono. Kamienie zostały, wspinały się na nie pędy jeżyn, gdzieś tam porastały trawy. Z takich kamieni niewiele da się zrobić, mogłyby ostatecznie być użyte na podmurówki, ale – póki co – domy i obejścia były całe, więc leżały spokojnie. Czasem, wracając ze szkoły, ktoś je przewrócił, albo osunęły się, gdy wbiegaliśmy na przyzmaczkę. Leżały i czekały. Potem już tam nie bywałem, więc nie wiem co się z nimi stało.

10 V 2005

# Čapek

Miałem wybór – albo ta książka albo samolocik na drucie. To było nawet interesujące urządzenie. Dwa elementy: wygięty druczany pręt – z jednej strony rączka, z drugiej stojący do góry szpikulec, i drugi pręt – z jednej strony skręcona tulejka z drutu, z drugiej drewniany samolocik ze śmigłem. Gdy się je złączyło i obracało kolistym ruchem – samolocik latał. Śmigło wtedy, myślę, wirowało, ale głowy za to nie dam. Chciałem mieć ten samolocik, ale – gdy ją obejrzałem – bardziej książkę. Była duża, w sztywnej oprawie, i miała wiele obrazków. Była o psie, który nazywał się Lejek. Zapamiętałem też nazwisko autora, bo nie dość, że było śmieszne, to jeszcze nad pierwszą literą był taki zabawny odwrócony daszek. Więc wybrałem książkę. Czy coś jeszcze prócz tej książki i samolocika mogłem wybrać – nie pamiętam. Ale musiałem dokonać wyboru, bo mama kazała, gdy będę wracał ze szkoły kupić cukier. A nie mogłem go tak po prostu kupić, musiałem coś jeszcze. Z produktów, tak nazwijmy – nie pierwszej potrzeby. Potem dowiedziałem się, że to, czego dokonałem, nazywało się sprzedażą związaną. A jeszcze później, że to był element wielkiego projektu społecznego. W jego realizacji, całkiem nieświadomie, uczestniczyłem. Później, gdy o tym myślałem, uświadomiłem sobie, że wybierając spośród wartości ucieleśnionych w rzeczach, wybrałem te najwyższe. Te, którym to wszystko miało służyć, i w czym kryło się ostateczne spełnienie nowego człowieka. Gdyby mi się teraz chciało bawić – mógłbym czyn, którego dokonałem, wybór, który był przeciwieństwem swobodny, choć dokonywał się w nie przeze mnie ustalonych ramach, interpretować wedle tamtej i dzisiejszej optyki. Ba, wpisywać w opcje przeróżne, aksjologie rozliczne. Nie chce mi się, mam i teraz wybór. I też, chcąc nie chcąc, zapłacę zań.

Zabawne – znów, jak wtedy, staję przed podobną koniecznością. Chcąc kupić w kiosku książkę z gazetowej kolekcji, powinienem kupić także gazetę. Mam ją skądinąd, więc pani z kiosku sprzedaje mi samą książkę. Więcej ludzi kupuje gazety niż książki, rachunek się zgodzi. Czy wtedy też tak bywało, nie ręczę, choć pewnie nakazy dawały się obejść.

I to można wpisać w dużą społeczną strukturę. Ustalić reguły, motywy, odsłonić to, co skrywają oficjalne deklaracje. W małej części odkryć część większej całości. A także sieć wzajemnych powiązań elementów niekoniecznie widocznych na pierwszy rzut oka. I wszystko razem poddać ideologicznej interpretacji.

Nie chce mi się. Wolę widzieć siebie – chłopca, i siebie – daleko bardziej dojrzałego – kupującego produkt, który jest czymś więcej niż zwykłym przedmiotem konsumpcji, przyglądającego się tej czynności i widzącego w niej siebie, i to, co się w owej czynności po równi skrywa i odsłania.

Miałem i mam wybór. W nie przeze mnie ustalonych ramach.

Mogę je wszelako rozpoznać. I siebie w nich.

10 V 2005

## ZMP – trzy epizody

### Zwycięstwo kolektywu

To pewnie była studniówka, nie zwykle sobotnie tańce. Już chyba po tym jak na ścianach artysta wymalował trzy wielkie obrazy przedstawiające wieś spółdzielczą. Co było na dwu – nie pamiętam, wydaje mi się, mgliście, że na jednym z nich – orka zmechanizowana: traktory, pługi wieloskibowe. Ten wszakże, który znajdował się na dużej ścianie, naprzeciw drzwi wejściowych zapamiętałem. Przedstawiał dorodne krowy pijące z wielkiego betonowego poidła. Z boku był

chyba kran, co dokumentowało, że wieś ma już bieżącą wodę. Czy w tle wznosiły się słupy z przewodami elektrycznymi, nie pomnę, ale chyba były, bo to jedna z ikon okresu. Stałem pod tym obrazem, tańce się jeszcze nie zaczęły, i wtedy ktoś ze starszych klas, pewnie przewodniczący szkolnego ZMP, triumfalnie obwieścił, że dwie koleżanki z klasy maturalnej dojrzały i postanowiły wstąpić do Organizacji. Dotąd trzymały się z boku, teraz są z nami, w kolektywie. Dojrzewały długo, ale przecież dojrzały. Kolektyw zwyciężył.

Zerwały się oklaski, trwały długo. Czy zaśpiewano także pieśń organizacyjną, nie pomnę. A potem kolektyw otoczył nowe koleżanki, wziął je na ręce i podrzucał do góry. Coś pewnie skandowano, gratulując słusznego wyboru.

Pełne zjednoczenie.

A potem były tańce.

### **Róża Luksemburg i Król Maciuś Pierwszy**

Byłem w Organizacji. Kiedy wstąpiłem, nie pamiętam. Pewnie na początku nauki, jak tylko robiono zapisy nowoprzyjętych. To trwało zbyt krótko, bym mógł wejść do aktywu. Nie jeździłem, jak starsi, na agitacje. Na razie uczestniczyłem w szkoleniach. Jedno z nich zapamiętałem.

Kolega z klasy, Tyliszczak się nazywał, wykladał o błędach luksemburgizmu. Pewnie prócz nas był ktoś ze szkolnego aktywu i, wydaje mi się, także któryś z nauczycieli. Słuchałem, ale pod ławką miałem rozłożoną książkę - *Króla Maciusia I*. Musiałem się pochylić i w ten sposób wyróżnić się spośród siedzących. I wtedy ktoś do mnie podszedł, nauczyciel albo funkcyjny, i skonfiskował książkę.

Otrzymałem karę dyscyplinarną. Przez miesiąc ze szkolnej biblioteki mogłem pożyczać tylko książki zawodowe. Żadnych innych. Czy właśnie wtedy przeczyłem broszury o frapujących tytułach *Krowa pyskiem doi* i *Kto jest największym szkodnikiem buraków? Ten, kto im liście obrywa!* - nie pamiętam. Wiem, że je czytałem.

W analizie błędów, które popełniła skądinąd wielka rewolucjonistka wgłębiałem się dużo później.

A z kolegą Tyliszczakiem nawet się zaprzyjaźniliśmy. Na studniówce piliśmy, raczej w sporych ilościach wino marki „Tur”, mnie jakoś służyło, jemu mniej, zrobiła się afera i nie dopuszczono go do matury.

O wielu rzeczach nie wiedziałem i nie wiem, ale to, że Róża Luksemburg popełniła poważne błędy teoretyczne, i że tyczyły one przede wszystkim problemów narodowych, zapamiętałem na zawsze.

Miałem podzielną uwagę.

### **Nasza organizacja**

Nie ma co kpić – Organizacja była potęgą. Co najlepiej udowodniła sprawa kolegi Roga, z równoległej do mojej klasy. Było tak oto, że w czasie lekcji języka rosyjskiego kolega Róg zachowywał się niewłaściwie. Może rozmawiał, może się śmiał, dość że nauczyciel nie wytrzymał i wyrznął go w mordę. Kolega Róg postawił sprawę na szkolnej organizacji ZMP, ta zaś zorganizowała wspólne zebranie z POP PZPR.

Sąd nad tym, który naruszył socjalistyczne normy moralne.

Kolega Róg zachowywał się, być może niewłaściwie, lecz nauczyciel obraził nie tylko ucznia, ale w jego osobie także Organizację, której kolega Róg jest członkiem, nie może więc pełnić zaszczytnej funkcji wychowawcy młodego pokolenia. Nie ma innej możliwości – musi opuścić szkołę. Och, nauczyciel przeprosił i kolegę Roga, i Organizację, powołał się na przeżycia wojenne i chyba także obozowe, jeśli nie konfabuluje, również na to, że jest członkiem Partii, więc w żaden sposób nie chciał w osobie kolegi Roga naruszyć honoru Organizacji. Organizacja nie ustąpiła. Nauczyciel przestał nas nauczać.

Po nim przyszła młoda i ładna. Lubilem ją, bo nie krzyczała i rosyjskie teksty pozwalała streszczać po polsku.

Za tym zwolnionym raczej nie przepadałem. Zresztą starłem się z nim na samym początku. Wezwał mnie do tablicy i kazał pisać: urok pierwszy, a ja słabo pamiętałem bukwę. Potem, gdy już jako tako czytałem, to z fatalnym akcentem, więc wrzeszczał na mnie: biezudarnyje o czytajetsja tak a, ty durak. Chyba obudzony ze snu potrafię to zdanie prawidłowo wyartykułować.

Czy zwolnienie mnie obeszło, już nie wiem. Ale pewnie czułem się niezłe, silny wśród silnych.

A potem nie było już Organizacji. Szło nowe. Późną jesienią zebrano nas do kopania buraków. Ręcznie. Jeśli siedział miękko dawało się go po prostu wyrwać, jeśli nie – wpieryw trzeba było podważyć widelkami, takimi dwuzębowymi ze specjalną poprzeczką do naciskania butem. Ziemia już była przemarznięta, więc szło to niesporo, ręce grabiały. W gazetach pisali o strajkach, my też postanowiliśmy zastrajkować. Systemem, jak mówiliśmy, włoskim. To znaczy nie opuścimy miejsca pracy, ale i roboty nie podejmiemy, będziemy z tymi widelkami maszerować gęsiego po między, dokąd prowadzący zajęcia nie puści nas do domu.

Puścił. Ale zaraz potem zebrała się rada pedagogiczna, wezwano nas i kazano wskazać prowadzących. Nie wskazaliśmy, więc nam ich wskazano. Głównymi byli najstarsi, kolejnymi – podle wzrostu. Ani potwierdziliśmy, ani zaprzeczyliśmy, w każdym razie nie chcieliśmy wymienić żadnych nazwisk. W ten sposób milcząco uznaliśmy słuszność zarzutów. Najbardziej winni opuścili szkołę, kolejnym zabrano stypendia.

Ja byłem wśród średniaków. I pod względem wieku, i pod względem wzrostu.

Czy było to już wówczas, gdy działała nowa organizacja (nie, jej z dużej litery pisać nie można) czy może się dopiero organizowała, nie wiem.

Tamtej w każdym razie na pewno już nie było.

A kolega Róg dużo później znalazł się – wraz ze mną i Filipiukiem z mojej klasy, znanym lekkoatletą – wśród tych, co rozstawili imię szkoły. Zdaje się – uratował tonącego.

11 V 2005

## Jak nie zostałem członkiem Partii

Gdy teraz to sobie tłumaczę – nie potrafię odpowiedzieć inaczej jak tylko, że z wygodnictwa i oportunisty. Choć, zdaje się, w pewnym momencie mówiłem, że Majakowski i Broniewski także nie byli. Namawiano mnie zresztą tylko dwa razy. Najpierw w pierwszej firmie, w której pracowałem. Dyrektor był, ktoś jeszcze też, w sumie jednak zbyt mało by powołać POP, działała tylko grupa, a firma, jakby nie było, szczebla wojewódzkiego. Wstyd. Więc dyrektor odbył ze mną rozmowę. Odpowiedziałem, standardowo, że jeszcze nie dojrzałem, i na tym się skończyło. On też pewnie pytał rutynowo.

Nic mnie, tak naprawdę, nie wstrzymywało. Ani względy religijne, ani ideowe. Byłem w ZMP, potem w ZMW, całkiem więc logiczne gdybym był i w PZPR. Chętnie zapisałem się na WUML, naukę tam wspominam całkiem dobrze i cenię sobie dyplom.

A potem zostałem członkiem ZSL. Niedługo potem zacząłem pracować w „Gazecie Chłopskiej”, gdy ją zlikwidowano, Bolesław Soliński zatrudnił mnie w „Nadodrzcu”.

I wtedy, już po kilku latach pracy, odmówiłem ponownie. Z motywów równie głupich i wygodnickich.

Było to tak, że sekretarz redakcji i moja kierowniczka działu wezwali mnie na rozmowę. Andrzejku, mówi sekretarz (i redakcji i POP), twoje więzi ze wsią całkiem się rozluźniły, nie ma

więc powodów abyś był nadal w partii chłopskiej, zwłaszcza, że ideowo nie masz pewnie żadnych zastrzeżeń i my też nie mamy.

Nie, odpowiedziałem, nie mam żadnych oporów, pozwólcie jednak, że opowiem wam pewną historyjkę.

Otóż mój nauczyciel mechanizacji rolnictwa z technikum, dobrze wykształcony fachowiec był w tej samej partii co ja. Co pewien czas stawała sprawa powołania go na dyrektora, jak nie tego to innego technikum. Taka decyzja musiała być podjęta na szczepku Komisji Porozumiewawczej Partii i Stronnictw Politycznych. I wtedy, gdy dyskutowano kandydaturę, ktoś z partyjnych mówił: dobry towarzysz, świetny fachowiec, ale jego żona nosi feretrony, a on nijak nie potrafi wpłynąć, by przestała manifestować religianctwo. Gdy to się powtarzało, gdy bezustannie ciągnano go za żonę, podjął jedynie słuszną decyzję: zieloną legitymację wymienił na czerwoną. Żona feretrony dalej nosiła, fideistyczne skłonności manifestowała, przeszkody wszakże przestały być przeszkodami, otrzymał dyrektorską nominację. Czy chcecie, bym podobnie postąpił?

Nie, Andrzejku, powiedziała moja szefowa, dajmy sobie spokój.

Ale wtedy, gdyśmy rozmawiali, przemknęło mi przez myśl, że ten, kto mógł mnie opieprzać po linii służbowej, opieprzałby mnie także po linii partyjnej, zgroza.

A swoją partię, co tu dużo mówić, lubiłem. Ona takimi jak ja zajmowała się mało. Te sfery, w których działałem, nie były jej głównymi obszarami działania, choć jakoś tam się nimi zajmowała. Miałem luz i swobodę. I nawet, ale już później, byłem aktywny.

11 V 2005

## Stan wojenny

Mniej więcej wiem jak było. Położyłem się spać dość późno, spałem więc, dokąd rano nie obudził mnie pisarz S. Ch. informując, że właśnie mamy wojnę, czyli stan wojenny. Nie pamiętam, by mnie to szczególnie obeszło. Raczej, jak potem pisałem, poczułem się wyzwolony. Coś się zdecydowało. Nie wiem czy formuła, w którą usiłowałem ująć to, co wtedy czułem jest trafna:

poczułeś się wyzwolony nic  
nie musiałeś robić twoje ciało  
pracowało za ciebie pewne  
że jest  
jak państwo  
które  
podjęło za ciebie decyzję

Tak mi się zdawało.

Ale potem dowiedziałem się, że było to dla mnie „traumatyczne przeżycie”. Tak napisał młody (domyślam się) krytyk Maciej Wróblewski („Przegląd Literacko-Artystyczny” 2002, nr 7-8). Ma dowód: wiersz, który napisałem 18 XII 1981:

nic, nic. zegar odmierza czas. powietrze wypełnia płuca.  
oddech jest równy. pióro przesuwają się po papierze.  
spływa atrament. czerni białą kartkę.

ciemność za oknem jest cicha. nie ma gwiazd na niebie.  
(radio już wczoraj doniosło że będą zamglenia  
że trzeba zachować ostrożność spokój i rozwagę)

karta jest biała. atrament ciemnoniebieski.  
w pokoju jest cicho. za oknem spokojnie.  
oddech jest równy. nic nie zakłóca spokoju.

nic. nic.

To, powiada krytyk, „jeden z najlepszych utworów Waśkiewicza w tym tomiku [*Widmowe światło wspólnoty*, 2001]. Następujące po sobie metafory łączą się w nim niespiesznie, doskonale oddając stan odrętwienia, spowodowanego traumatycznym przeżyciem, jakim był stan wojenny. Jednocześnie *notatka (I)* jest wierszem na wskroś osobistym, poetyckim zapisem o charakterze biograficznym”.

Ten wiersz, napisany od jednego rzutu, niemal bez poprawek, napisał mi się po tym, który w zbiorze nosi tytuł *fragment (II)*. Czołgi, o których w nim mowa, i mnie się śniły, ale – gdybym miał znaleźć fragment, który oddaje moje ówczesne lęki i obawy byłyby to te cztery linijki:

świat – nie istnieje jest jakby na kredyt  
nieustanne zdziwienie – jeszcze nikt nie zginął  
kwiat krwi zakwita w snach to sen jest realny  
jawa nierzeczywista

I jeszcze te dwie:

przedmioty w niejasnych konstelacjach spieszny tupot idei  
grom którego turkot przetacza się we śnie

Trauma czy spokój? Pewnie i jedno i drugie. A potem raczej poczucie groteski.  
Tylko groteski?

7 VIII 2005



# Latem tego roku

**Czesław Sobkowiak**

---

## Zapisek

Latem tego roku wiele razy dało się słyszeć o śmierci. Kazik zaś napisał, że kąpie się w słonecznym Atlantyku. „Bretania jest cudowna, błękitna”. Teraz nadciąga ciemna, burzowa chmura i jakiś gospodarz próbuje przed ulewą zdążyć ze stertą suchego siana. Konia pogania batem, wóz na gumowych kołach mknie prawie bezszelestnie. Dobrze, że jeszcze istnieje zwyczajny świat, zwyczajne, codzienne sprawy, np. padający deszcz.

## Odejście Poety

W Chicago, 29 czerwca tego roku zmarł jeden z największych poetów polskich – Tymoteusz Karpowicz. Studiując we Wrocławiu, na początku lat siedemdziesiątych, pewnego dnia wspiałem się po stromych schodach na wysokie piętro do redakcji „Odry”, by dać kilka swoich wierszy do oceny bądź, gdyby wypadła korzystnie, do publikacji. Po jakimś czasie zjawilem się ponownie u autora „Odwróconego światła”. Poeta siedział za biurkiem w swoim ciasnym pokoiku. Patrzył na mnie uważnie, spokojnie, niewiele mówiąc. Zapewne zapytał o coś. W rezultacie delikatnie, miękko zasugerował bym za jakiś czas znowu przyniósł swoje nowe poetyckie rzeczy. Tak poznałem Mistrza Mowy Polskiej – jak go nazwał właśnie przez Karpowicza wypromowany Rafał Wojaczek. Z Polski wyjechał w 1973 roku. A później przez lata Marianna Bocian w swoich listach lub rozmowie starała się przypominać i uzmysławiać mi jego wielkość. W końcu należała do grupy poetów uznających Tymoteusza Karpowicza za swojego ojca duchowego. W kolejnych latach najwięcej bieżących wiadomości o nim dochodziło do mnie od Janka Stolarczyka

(który opiekował się i nadal opiekuje jego domem we Wrocławiu), zwłaszcza o kłopotach życiowych, tam w USA, stanie zdrowia – jego i żony Marii i bardzo długo trwającym przygotowywaniu dla Wydawnictwa Dolnośląskiego dzieła „Stoje zadrzewne”. Kiedy już się ukazało zadziwiła mnie finezja słowa i myśli i jednak pewna rezygnacja z radykalnej innowacyjności, co w moim odczuciu wyposażyło tę poezję w większą jeszcze moc. Dałem temu wyraz w „Autografie”. Spodziewałem się nawet, że ta książka wywoła w Polsce jakiś ferment dyskusji, ale tak się nie stało. Ma chyba rację Krystyna Miłobędzka, iż przed tą poezją „Ważna jest przyszłość”. Nie dosyć tego – Nagrodę Nike otrzymał inny wrocławski poeta - Tadeusz Różewicz, za sentymentalno-wspomnieniową pozycję „Matka odchodzi”. Pisze Czesław Karkowski w „Rzeczpospolitej”, że te fakty, jak i wcześniejsze w poczuciu Karpowicza „wygnanie” go z Polski przyczyniło się do wielkiego rozgoryczenia i obsesji samotności, co sprawiło, że tylko raz z okazji 1000-lecia Miasta Wrocławia, przybył na kilka dni do Polski. A teraz w środku lata wiadomość o śmierci Poety. Dotknięcie ostateczności. Pojawiły się artykuły w pismach i jeszcze się zapewne pojawiają. Jedno jest pewne i konieczne – ta poezja bardziej niż jakakolwiek inna (np. Zbigniewa Herberta już znacząco opisana) zasługuje na intelektualne rozpoznanie. A wiele epizodów samej biografii, która nie bez udziału autora obrośla już mitami, wymaga obiektywnego opisanie.

## Szkółki literackie

Zjawiskiem, które ma miejsce, przypuszczam nie tylko w życiu literackim Ziemi Lubuskiej, jest pojawienie się i trwająca sporo już lat działalność swoistych szkółek pisanie

literatury. Stały się one ostatnio dość modne w różnych środowiskach. Kiedyś początkujący poeci, wywodzący się najczęściej ze starszych klas licealnych zakładali i ogłaszali swoje pierwsze utwory na łamach szkolnych gazetek, którymi kierowały zespoły redagujących rówieśników. Albo trafiali do swego mistrza. Tu najczęściej miał miejsce pierwszy sprawdzian umiejętności. Nikt nikogo zbytnio nie nauczał. Wychodziło komuś pisanie lub nie wychodziło. Niekiedy grono młodych odwiedzał dojrzały literat i coś próbował o zagadnieniach twórczości opowiadać. Wyzwał ambicje i wywierał określone wrażenie. Gdy później udawało się komuś przebić ze swym słowem do pisma literackiego uznawane to było za sukces. Miał wtedy już pewną szansę taki młody autor znaleźć się w kole młodych pisarzy lub zapisać do korespondencyjnego klubu. W ten sposób uzyskiwał status młodego literata. Uczestniczył w spotkaniach, seminariach, dyskutował o czyichś wierszach, opowiadaniach i poddawał ocenie własne. Tą drogą uzyskiwał możliwość kolejnych publikacji w pismach literackich i różnego typu antologiach. Ale wszystko inne musiał ów młody pisarz wykonać sam w zaciszu swojego miejskiego lub wiejskiego domu, w Laskach Odrzańskich lub Zawadzie. Niekiedy przy świetle naftowej lampy. Tak było.

To, co obserwuję obecnie w niczym nie przypomina tamtejszego czasu. Można rzec, że mamy do czynienia z zorganizowanym ułatwianiem uprawiania twórczości literackiej oraz jej publikowania. Na konkursy literackie przysyłane są utwory nie tylko wiekowo bardzo młodych osób, z wczesnych klas szkoły podstawowej, ale okazuje się, że z danej szkoły lub jednej klasy przychodzą prace nawet kilku lub kilkunastu piszących. Wystarczy im pobieżna znajomość literackich gatunków. Coraz więcej obserwować da się tej powszechnej, wyuczonej znajomości typowych, obowiązkowych i właśnie wyuczonych, chwytów. Powinno to cieszyć, gdyż świadczy wspólnie o podnoszeniu się kultury słowa na coraz wyższy poziom. Poza tym, trzeba przyznać, iż czasami w tej masie trafiają się okrucy wierszy, zadziwiające pięknem i odkrywczo-

cią. Jednak niemal zawsze jest tak, że za tymi tekstami i ich autorami, a najczęściej autorkami, stoją jacyś opiekunowie, ambitne panie nauczycielki od języka polskiego. Można się domyślać, że w wielu przypadkach również piszące coś poetyckiego do szuflady. W takich warunkach, w największym skrócie, wykluwa się dzisiaj przyszłe pokolenie pisarzy. Czy to jest dobrze, czy źle? Nie wiem. Zobaczmy po przyszłych owocach. Zastanović się jednak wypada, czy w tego rodzaju podejściu nie zatracą się autentyzm niezbędny właśnie w procesie tworzenia. Rodzą się te moje wątpliwości nie bez przyczyny. Z talentem twórczym łączy się przecież samorodność, wysiłek, ciężar doświadczenia, a coraz częściej słyszę, że tu i ówdzie działają jakieś akademie, uniwersytety czy kluby, pragnące nauczyć uczniów lub kogokolwiek (także w średnim lub podeszłym wieku) sztuki tworzenia literackiego. Organizowane są zajęcia warsztatowe, wykłady, spotkania, itp. I to wszystko w czasie zalewającej nas nadprodukcji literackiej, której towarzyszy coraz mniejsze znaczenie właśnie słowa pisanego.

I tak: w Skwierzynie od 10 lat Beata Igielska prowadzi Małą Akademię Literatury. Jej podopiecznymi są uczniowie, którzy zdradzają zainteresowania twórcze. Oczywiście, ta systematyczna praca pod okiem kogoś, kto również uprawia twórczość, przynosi efekty. Młodzi autorzy wielokrotnie zdobywali nagrody w regionalnych i ogólnopolskich konkursach. Zapewne na siebie zwracali uwagę świeżością i wrażliwością w obrazowaniu i inwencji słownej. Kiedyś miałem okazję czytać zestawy ich prac konkursowych. Mogło się odnieść wrażenie, że pisze je jedna i ta sama osoba. Wyobrażam sobie, że przez te swoiste kursy warsztatowe przewinąć się musiało sporo młodych. Czy kiedyś się dowiemy o kontynuującą swoje powołanie choćby jednej indywidualności? To byłby sukces. Nie da się zaprzeczyć.

Do tej pory ukazały się trzy publikacje przedstawiające autorów z całego okresu działalności owej „akademii” (*W pąku, Na słowo czekam*). W tym roku wydana została „Przygoda ze słowem”, ze wstępem Anny



Makowskiej-Cieleń, która dokładnie omawia utwory wszystkich młodych autorek. Wynika stąd prosty wniosek - pisanie usiłują się zajmować przede wszystkim młode dziewczyny, co być może wiąże się głównie z okresem dojrzewania, swoistą dla tego okresu nadwrażliwością i egzaltacją, a niekoniecznie z powołaniem twórczym. Ale najważniejszym problemem jest to czy ów literacki mistrz lub opiekun młodych piszących nie dominuje, nie determinuje własnym światopoglądem, stylem i upodobaniami. Wiadomo bowiem, że młode osobowości nie są wykrystalizowane i łatwo mogą poddawać się sugestiom. A niekoniecznie każda sugestia dobrze służy znalezieniu własnej drogi. Sztuką jest dyskretnie wesprzeć objawiające się zdolności i talent, a zwłaszcza uświadomić konieczność pracy. Nic ponadto. Podobną działalność, od 1997 roku, prowadzi w zielonogórskim Domu Harcerza, w „Klubie Szufładera” (będącym otwartą, luźną grupą) Ewa Andrzejewska. W zajęciach udział biorą sukcesywnie młode poetki. Tu następuje pierwsza obróbka literacka. Ewa Andrzejewska pisze w jednym z zeszytów poetyckich: „wiele z nich przeszło rzetelną kosmetykę podczas naszych copiątkowych spotkań”. Jak widać mechanizm pracy jest wszędzie podobny. Tworzenie w jakimś sensie ma charakter wspólnotowy. Do tej pory ukazało się 6 zeszytów poetyckich, w których owe kawałki wierszy zostały opublikowane. To dobrze, że w tym przypadku można wskazać na wyróżniającą się indywidualność Agnieszki Halszki. I oby pisała coraz lepiej. Przeczytałem wiele z tych utworów i muszę przyznać, że podobały mi się. Pojedyncze, udane, trafne zapiski.

Nie inaczej jest w Stowarzyszeniu Jeszcze Żywych Poetów, które ostatnio obchodziło jubileusz dziesięciolecia istnienia. Na tę okoliczność opublikowana została antologia poetycka „Poddasze Poetów”. We wszystkich opisanych instytucjach zasady funkcjonowania są niemal identyczne: warsztaty literackie, wykłady, publiczne czytanie wierszy, dyskusowanie i ocenianie. Nadzieja też jest wspólna. Tą drogą ma udać się nauczanie tworzenia, pisanie literatury. Różnica w przypadku Jeszcze Żywych Poetów polega na tym, że nie ma

tu ograniczeń pokoleniowych. W kształceniu się mogą brać udział młodzi, początkujący autorzy, jak i osoby pragnące rozwijać swój talent w wieku już dojrzałym. Muszą jednak płacić składki. Wyróżnikiem o niebagatelnym znaczeniu jest to, że towarzyszą tej działalności dosyć intensywne starania wydawnicze, które odpowiadają na potrzeby znacznej części zielonogórskiego środowiska literackiego. Zwłaszcza w Wydawnictwie „Organon” Zygmunta Rybczyńskiego ukazało się sporo książek „stowarzyszeniowych” autorów. Oczywiście dzięki pozyskiwanemu finansowaniu z różnych źródeł.

W kontekście tego wszystkiego, co powyżej zasygnalizowałem, można mówić o zjawisku w wymiarze socjologicznym, ale generalnie warto wskazywać tylko na owoce tych wysiłków, czyli na książki. A te właśnie się ukazują, potwierdzając, że na niwie lubuskiej literatury nie ma większego zastojów. Co prawda na dzieła wybitne należy ciągle cierpliwie czekać, to jednak wydanie właśnie w ostatnim czasie aż czterech pozycji, latem tego roku, przez Organon, nawet jeśli ze względu na szczupłość środków są to rzeczy edytorsko mało efektowne, zasługuje na docenienie. Tak więc po kolei.

Oto 23 czerwca, w patio Biblioteki miała miejsce promocja dwóch książek: Katarzyny Kulikowskiej „Świat zawieszony na drzewie” – poezja i Katarzyny Jarosz-Rabiej „Smak lebiody” – proza. Dla obu autorek był to bez wątpienia dzień ważny. Kulikowska debiutowała, a Jarosz-Rabiej prezentowała swoje możliwości prozatorskie, co trzeba u nas uznać za cenne ze względu na deficyt właśnie tego rodzaju twórczości.

## Debiut poetki

Poetycki zbiorek „Świat zawieszony na drzewie” Katarzyny Kulikowskiej jest książką o tyle ważną, że stanowi autorskie wchodzenie w sferę literatury. Przekraczanie granic życiowych doświadczeń i wtajemniczenia inicjacyjne zbiegają się z obejmowaniem doświadczeń w sferze słowa. Książka nie jest zbyt obszerna, ale na pewno daje obraz

osobowości poetki, która mocno, intensywnie, wręcz dramatycznie, przeżywa świat, swoje w nim miejsce. Ma rację Joanna Szczepaniak, pisząc w posłowniu, że poetkę cechuje talent, „niezwykła wrażliwość, bujna plastyczna wyobraźnia”. Te wiersze zbudowane są z jednorodnej materii. Stanowią ją przeżycia i wyobraźnia. Podmiot tych wierszy niejako jest pod presją doświadczeń, które wyrwywają go z dotychczasowego porządku. Jeszcze tkwi mocno w realiach i klimatach sielskiego rodzinnego domu (jak w wierszu „Wigilia”), wśród oswojonych wiejskich realiów („W Buchałowie”), a z drugiej, już wie, że musi sama podejmować decyzje, ważne dla jej podmiotowości. Cenne w tym momencie może być to, że ujmuje je przy pomocy wyrazistych zdań i obrazów. Wszelkie rozmiękczone, mgliste, sentymentalne rozklejanie się nie jest w jej stylu. To stanowi niezły zadatek na przyszłość. W tym względzie podmiotowe przeżycia i pragnienia są mocne, jednoznaczne, np. taki fragment: „Naznaczę cię tatuażem pocałunku / Skuję kajdanami pokus / Będziesz moim więźniem / Zagryzę słowa jak wargi do krwi”. Chodzi nie tylko o wyznawanie, ale uchwycenie raczej czegoś ważnego, aby uzyskać przy pomocy drugiej osoby pewność wspólnoty, pewność odwołania się do zdobytego w ten sposób sensu. Nie przypadkiem poetka dotyka sfery erotyki. Tu szczególnie, a nie gdziekolwiek indziej, rozstrzyga się egzystencjalne emocjonalne bycie, spełnianie się lub niespełnianie, pragnienie by „Pękła szyba lodu”. Czytam takie słowa: „Walczę z twoimi słowami, ustami i dłońmi”. Wiersze nie są rozgadane, wolne od pokusy komplikowania obrazów. Dlatego, że tak naprawdę świat poetki Katarzyny Kulikowskiej dopiero się staje, na styku z rzeczywistością, którą należy opisywać, ale i walczyć o nią. Ceną mogą być pierwsze doznania samotności. I takie właśnie stają się jej udziałem. Na tym styku będzie się nadal kształtować osobowość poetki z Droszkowa, jej przywiązanie do piękna i baśniowości zaznaczy się jeszcze w budowaniu i poznawaniu dookólnego świata. Taką mam nadzieję. Nie ukrywam, że stosuję wobec młodej poetki „taryfę ulgową”.

## Proza ulicy Jeleniej

Poezja jest królową literatury i sztuki wszelkich w ogóle, a proza – lokomotywą. Dlatego cieszę się, że Katarzyna Jarosz-Rabiej, do tej pory wydająca tomiki wierszy, dojrzała do narracji bardziej powszedniej. Jej „Smak lebiody” składa się z jedenastu króciutkich opowiadań, w znacznym stopniu napisanych z potrzeby wewnętrznej, autobiograficznej, jako że przywołują osobiste przeżycia i obrazy z nimi się łączące. Nie wdaje się autorka w budowanie fikcji, bo po co. Życie, takie jakie ono jest w swojej złożoności i zaskakującej zmienności, niesie wystarczająco bogaty materiał do przedstawienia. Wszystko zależy od jego oświetlenia, stylu i szczegółowości opowiedzenia. Muszę od razu zauważyć, że autorka tę zdolność posiada. Narracji nie uszuczniła, nie profiluje na jakąś modłę, ale mówi od siebie i tak zarazem pisze. To, co może się podobać, to to, że oddaje dynamikę swoich przeżyć oraz dziejących się zdarzeń. Przy czym snucie opowieści traktuje dość luźno, nie zawsze chodzi jej o ścisłość następstw. Przez co ma się wrażenie – jak zauważył Janusz Styczeń – że „niespodzianka zderza się z niespodzianką”. Poza utworem pierwszym, poświęconym legendarnemu Hilaremu Gwizdale „Barwy winnych wzgórz z obrazów Hilarego Gwizdały” (szkoda, że nie jest ono w treści bogatsze i rozleglejsze, bo zaledwie wyczerpuje jeden epizod, czyli moment poznania Artysty) wszystkie odnoszą się do codziennej materii życia i losu opisywanych, bliskich sobie, ludzi. Każdy człowiek tego zbioru ma jakąś swoją ważną historię, najczęściej nostalgiczną i nie pozbawioną smutku, trudu, zawodu, np. „Serce z piernika” Ale i swojskiej rodzajowości: „Jak kot w worku”, czy naznaczone nutą groteski i czystego żartu: „Czarodziej” (nagle w wyobraźni jawi się kondukt nago kroczących żałobników po cmentarzu) albo „Pieskie życie” (o niedoszłym narzeczonym, któremu w najmniej odpowiednim momencie wypada sztuczna szczęka) rzeczywiście wzbudzające śmiech. Nie tylko dlatego, że sytuacja została przestawiona zabawnie, ale bardzo żywo, obrazowo.

Tak więc smutek, żal sąsiadują ze swoistym komizmem egzystencji. Chyba w ten sposób autorka dotyka tego właśnie, co jest sednem życia. Jej proza wyzbyta jest tezy. Wszystko tu może się zdarzyć. To, co zdarza się jednak na pewno i stale, to śmierć. Śmierć pojawia się w każdym opowiadaniu. Obserwowana jakby w zasięgu ręki, dotyczy najbliższej rodziny. Toteż wiele razy nad tym się Katarzyna Jarosz-Rabiej pochyla, szczególnie wzruszająco w opowiadaniu o ojcu „Miłość po grób”. Natomiast utwór, w którym autorka zapewne najpełniej wypowiedziała się i opowiedziała swoją życiową historię, przedstawiając czas życia (dzieciństwo) w domu rodzinnym przy ulicy Jeleniej w Zielonej Górze, to tytułowy „Smak lebiody”, dedykowany Zdzisławowi Grudniowi. Trzeba go uważnie przeczytać żeby zrozumieć (bo jest autobiograficzny) duchowość samej autorki, ale i jej egzystencjalne źródła. To życie trudne, ciężkie, proste i surowe, wycisnęło niezatarte piętno, a wraz z nim utrwaliło przywiązanie do wartości konkretnych, dających się sprawdzić, dających się odczuć na własnej skórze. W taką wiarę zostało wyposażone „ja” narracyjne tych wszystkich opowiadań. Uwrażliwiło na obserwowaną wokół biedę. W pamięci zachowała się „Chałupa pochylona do ziemi, z okiennicami w serduszka, z podwórkiem pełnym konwalii”, „co dzień zupa ta sama”, „Dwa razy do roku masło”, wytrwałość, wysiłek matki by utrzymać liczną rodzinę, można rzec, egzystencjalny dół, margines, tak, tyle tylko, że nie wyzbyty zasad, podstawowych wartości. Autorka opowiada o tym wszystkim żarliwie, z uczuciem miłości i dumą. Opowiada najczęściej językiem potocznym, nasyconym kolokwializmami. Stąd żywioł i barwność. I byłyby te opowiadania swoistymi perełkami narracyjnymi, gdyby nie wkradające się w ich tok mankamenty warsztatowe, pośpiech, pewna powierzchowność ujęć, nadmierna skrótowość, zbyt duże przeskoki pomiędzy poszczególnymi wątkami. Zwartości formy musi się jeszcze Katarzyna Jarosz-Rabiej po prostu nauczyć. Poza tym może drażnić duże niechlujstwo, gdy idzie o nonszalanckie podejście do zasad interpunkcji. Czy jest to aż tak trudne, żeby

choćby na etapie korekty doprowadzać dokładnie wszystkie przecinki, myślniki jak należy?

Jakże inaczej wyglądałaby ta proza.

## „Wszyscy jesteśmy londyńczykami”

Bomby wybuchły w Londynie. Zabiły dziesiątki ludzi w metrze i autobusie. Nagle ten akcent, nie pierwszy, nie tylko uzmysławia, iż żyjemy w Europie, co prawda po upadku berlińskiego Muru i „wszyscy jesteśmy Londyńczykami”, ale chyba dużo głębszy konflikt przenika świat. Wszędzie zamachy, wybuchy. Śmierć. Ten wiek przyniesie nowe rozstrzygnięcia. Jakie to banalne, oczywiste. Tyle tylko, że za każdy krok postępu i zmiany życiem będą musieli zapłacić zwykli ludzie. No cóż, chodzę po pokoju, patrzę na gęstą roślinność, pędy ciężkich jaśminów próbują wejść w okno. I mam nieprzyzwoite, w kontekście tych śmierci, problemy z notatkami do nowego wiersza, co niemal powala na ziemię. Słowa są bezradne. Nic z ich powodu się nie stanie. Potężni chcą być ponad wszystko. Gdyby tylko oni. Każdy, komu się wyda, że ma władzę. Czyli prawo do podłości.

## Myśli w sierpniu

Póki co sierpień. Żniwne, mgliste smugi i zapachy sprawują nad moimi myślami i odczuciami dającą się akceptować władzę. Szelest kłosa uderzającego o inny kłos kiedyś zapisał się w mojej pamięci. Do niego wracam. To z tego blasku i snu się wywodzę. Teraz już w innym miejscu. A tamto miejsce zmienione nie do poznania, nie do powtórzenia. Trochę smutne. Mit smaków, barw i dotyków, i słów, wygasł. Jakby wyczerpało się milczenie i zapatrzenie, a zostały trudne, chropowate dni. Do modlitwy tu dalej, do patrzenia sobie w oczy dalej. Kuźnia pusta, dźwięk ciężkiego młota w niej nieobecny. Konie nieobecne. Przy kapliczce wieczorem, czy jeszcze ktoś kłęczy? Tu i ówdzie zielsko, chociaż tak samo gorzko pachnie, to jednak pachnie inaczej. I pomyśleć, że plusk ryby w stawie,

wołanie mleczarza, owocowanie morwy, radość z powodu świniobicia, śnieg na parapacie, krążenie much i bocianów, kobiety wiążące snopki żyta w upale, pola pokryte oziminą, kaczęce na brzegu wiosennego strumienia, jesienne ogniska, krowy, konie, orka w polu, chłód i niedostatek, odsiewały kłamstwo od prawdy. Ten sam sierpień stoi w oknie, na drodze, na kropłach rosy, na sliwkach i jabłkach i usiłuje mi podpowiedzieć, wszystko jak wtedy, co jest ciągle ważne.

## Po prostu „Odrzańskie” Mieczysława Warszawskiego

Ważne jak wiadomo jest to, co aktualne. Jest tych aktualności tak wiele ostatnio, że aż ciarki chodzą po plecach. A to, że kryzys na linii Moskwa-Warszawa, spadają tu i ówdzie samoloty pasażerskie, papież Benedykt XVI udzielił pierwszego wywiadu, Bush zagroził Iranowi wojenką, gdzieś znowu spłonęli ludzie. Został zamordowany brat Roger. Nożownicy przed niczym się nie cofają. To już normalka. Byłoby chyba nienormalne, gdyby było inaczej.

A jednak wyłamuje się z tego imadła poeta, który publikuje nowy tomik, wbrew temu wszystkiemu. Myślę, i z przyjemnością tu się dzielę uwagami z lektury, o książce Mieczysława Warszawskiego „Odrzańskie”, którą wydało Wydawnictwo „Organon”. Muszę przyznać, że wydało dużo staranniej niż poprzednie. Autor ma trochę szczęścia. Członkiem „Jeszcze Żywych Poetów” nie jest, a jednak Jola Pytel okazała mu swoją życzliwość w tak konkretny sposób. To cieszy. Bo warto tego poetę wydawać. Czyż nie publikuje również w „Twórczości”? Jego głos jest rozpoznawalny. I to od dłuższego już czasu. O czymkolwiek by nie traktował. Zawsze ta sama precyzja i dociekliwość leksykalna, pojęciowość zwykłości, a także dbanie o logikę w obrębie poetyckiego utworu. I to trzeba doceniać u Warszawskiego. Ten zbiór na tle poprzednich o tyle jest szczególny, że nie zajmuje się jego autor pierwszoplanowo swoją egzystencją, określaniem miejsca społecznego usytuowania, a raczej odzwierciedleniem

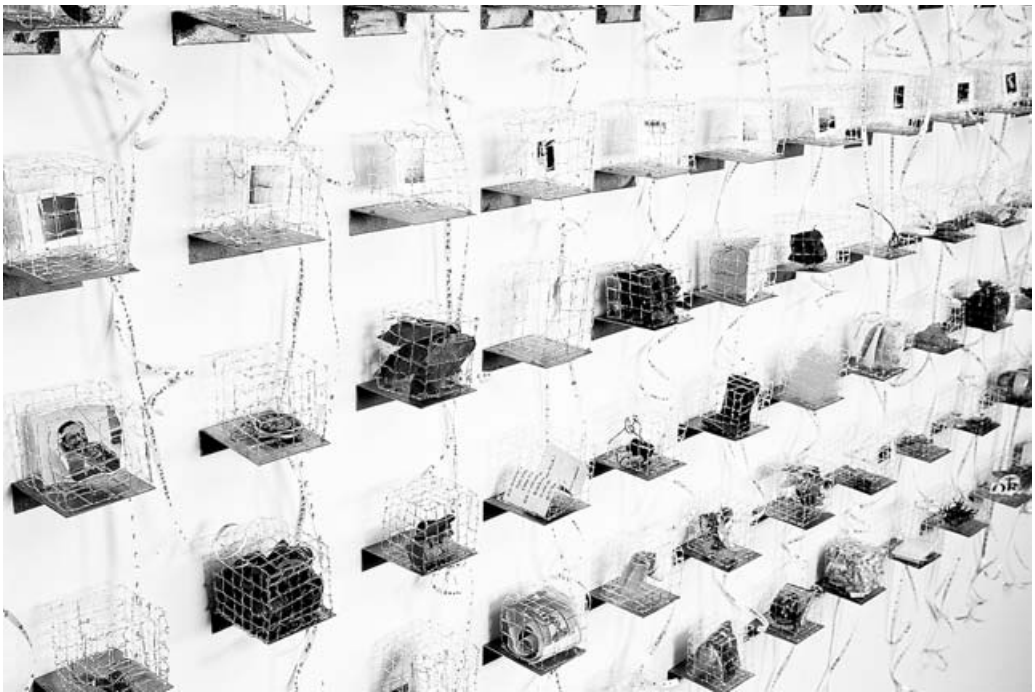
tudzież poetyckim opisaniem osobiście przez siebie przeżytego zdarzenia. Owej słynnej, wyjątkowej w skali dziejów Polski, powodzi z roku 1997, która wielu nadodrzańskim miejscowościom katastrofalnie zagroziła. W tym bezpośrednio Laskom Odrzańskim. To zdarzenie wycisnęło na poecie jakieś piętno. Być może na tyle uzmysłowił sobie jego biograficzną wagę, że zajął się jego opisaniem. Powódź w końcu dotyczyła jego gniazda rodzinnego, domu, całej wreszcie wioski. Toteż żywiołem wody Warszawski nasycił cały tomik. Woda jest tu dość szeroką metaforą – rzeczywistości całej jak i własnego życia. Tak. Można wodę, rzekę Odrę, traktować dosłownie jak i pretekstowo do snucia uogólnień: „Sprzed progu / Wszystko płynie / Aż po horyzont”. Woda-Odra wykonała „spektakularny” wyczyn, zresztą ciągle corocznie daje znać o sobie, bo „podtapia”. Ona ma naturę płynną, zmienną, niestabilizowaną, różnie wiezie swój żywot, ale i podmiot mówi o sobie: „jestem nie- / stałym”. Stąd potrafi wykrzesać z siebie szczególnie sentyment. W pewnym momencie wiezie z nią dialog: „Nie byłbym sobą, / gdybyś nie ty”. Dzieje się z jej powodu nie mało. Poeta obserwuje pilnie. Przede wszystkim uderza go ruchliwość przyrody, płynność sytuacji. „Nagle spłoszenie wód / Pod łopotem skrzydeł / Wzlatujących kaczek”. W głębi żywiołu zaś „Promieniujące wodorosty”. Ciekawe w tym wszystkim jest to, że Warszawskiemu nie wyczerpuje się inwencja. Zdaje się nieustannie zgłębiać wszystkie aspekty żywiołu, który bynajmniej nie ma cech abstrakcyjnych. Buduje obraz za obrazem. Dotyczą jego gniazda, jego wsi. Tu stara się wprowadzać jej realia. Demonstruje przy tym swoją dumę, albowiem „jakaś wieś” „Czy nie przeze mnie / Jeszcze bardziej / Zgłębiona” ? – pyta. Myślę, że poeta umiał skorzystać z okazji zaznaczenia własnego miejsca. Uporał się poetycko z całą gwałtownością zdarzenia, które wstrząsnęło wszystkim, ale też przyznał się, że on jest stąd, z wnętrza tego dramatu: „jakieś żywe i martwe inwentarze płyną”. Tak to było. To był swego rodzaju naprawdę apokaliptyczny potop. Utrwalił się w świadomości w takiej kategorii.

Nie omieszkał tedy M. Warszawski odwołać się do zabiegu stylizacyjnego, czyli archaizującej tonacji biblijnej („Według poczytania”, „Zapis ewakuacyjny”). Jest *Bóg, który „skinął palcem / A wody wezbrały”. Jest gołębicą „którą posłałem”*. Może to swoiste wyznanie wiary? Tylko ponton nie może być na serio uznany za aluzję do arki, co najwyżej jest bowiem „deską ratunku”. Zaś ten, który się w nim porusza mówi o sobie z przymrużeniem oka: „Niejaki zaś pseudo- / Noe”. Tak czy inaczej jakaś nadrzędność „woli niebios” ma tu miejsce. W tym sensie ta książka różni się od poprzednich. Jej cykl „Wszystko płynie” uznałbym za wiodący. To znaczy: dwa pozostałe – „Sprzed progę” i „Aż po horyzont” mają swoje nieco odrębne zadania. Dwa zasadnicze. Dają obraz problematyki podmiotowej, relacji z najbliższymi. A także dość mocno zaznaczają tło, w którym podmiot rozpatruje swój „czasowy lub stały pobyt”. Opisuje więc to stałe miejsce „łęgów piasków”

„łasków Odrzańskich”, gdzie wiedzie „Rozsiadły żywot”. I cieszę się z tego rysu w tym zbiorze. Warto go brać o tyle pod uwagę, że mimo wszystko mówi o najbliższej tzw. „małej ojczyźnie”, swoistym jej Genius Loci. Tego ducha miejsca stanowią według poety „wzgórza”, „bezdroża wykroty i odłogi” dobrze mu znane. To prawda, może i nie umie i nie do końca chce się w tym wszystkim zadomowić. Ale i nie oderwać, cóż, ono „jest jak jest”. Znaczenie ma jednak owa „krowianka” czy „Orzech łaskowy”. To są znaki rozpoznawalne, utrwalone doświadczeniem i realnie istniejące. Dużo w tym wszystkim autoironii i przekory wzmaganą wielokrotnie stosowaną przeczutnią. Mieczysław Warszawski potwierdza swoją klasę.

Post scriptum

Żniwa minęły, lato odeszło. Trochę już szaro. Trochę smutno.



# Twierdza absolutnie bezpieczna

Stanisław Turowski

Po dwudziestu latach mieszkania w małym bloku spółdzielczym zapragnąłem resztę życia spędzić wygodniej, na innym poziomie. Rodzina, ze skrywanym zadowoleniem, raczej nie studziła moich planów. Trochę niedowierzali, trochę się naśmiewali, ale przeszkód nie stawiali. Tym bardziej, że – o tym wszyscy byliśmy przekonani – należały nam się już lepsze warunki egzystowania.

W bloku, jego pobliżu odczuwaliśmy coraz wyraźniej pewną ciasnotę. Mebli lepszych kupić nie da rady, bo w tych dwóch pokojach z kuchnią co pomieścić? Z psem swobodnie wyjść – trudno. A wiodło nam się z każdym rokiem lepiej. I sklep, i hurtownia dobrze na nas pracowały.

To i po dwóch latach wprowadziliśmy się do własnego okazałego domu, wybudowanego od podstaw, według wszelkich naszych oczekiwań. Z kominkiem i takimi tam bajerami... Podwójny garaż. Na zewnątrz – obszerne podwórko, ogród, oczko wodne, skalniak, basenik. Do pielęgnowania kwiatów, krzewów co parę dni przychodził specjalista ogrodnik. Koszt niewielki, a otoczenie wyglądało zawsze bajecznie.

W stronę naszego „gospodarstwa” z przyjemnością zerkali przechodnie. Kontrast czterna-storodzinnej starej kamienicy i dwóch skromnych domków zatrzymywał ich uwagę. Z czasem ta „popularność” zaczęła nas denerwować.

Standardowy płot z drucianej siatki nie dawał nam dostatecznego poczucia prywatności. Baba, żaba mogła nas oglądać. Najgorzej z dziećmi. Nosy i palce wciśnięte między druty. Ile razy można im podawać kawałek kielbasy z grilla, czy poczęstować malinami? Psy się złościły.

Po trzech kolejnych latach ogrodzenie wymieniliśmy na dyskretniejsze. Zbudowaliśmy płot z drewnianych, solidnych sztachet, prawie bez prześwitów. Poczuliśmy się całkiem inaczej. Wreszcie zadowoleni. Nie raziliśmy tak bardzo w oczy.

Rychło jednak ta nowa inwestycja ogrodzeniowa przestała nas bawić. Oto spostrzeżliśmy, iż płot od zewnątrz jest rysowany gwoździami czy szkłem. Po zamalowaniu – następny raz i następny... „Kłęska” nie do opanowania. Psami poszczuć... – niedorzeczność. Krzyczeń – wariactwo. Jeszcze gorzej. Zabronić ludziom tędy przechodzić – nie ma takiego prawa.

W interesach bywało różnie, nie wszyscy są handlowymi aniołkami, a w ogóle – uczciwie całkiem, od „a” do „z”, dorobić się prawie nie idzie. Zaczęliśmy sobie wyobrażać, że którejs nocy to ogrodzenie się spopieli.

Kolejna decyzja inwestycyjna zapadła dość jednomyślnie. W paręnaście dni drewniane elementy ogrodzenia zlikwidowaliśmy, sąsiedzi błyskawicznie „zużyty” materiał od nas wzięli, na opał lub do majsterkowania. I jeszcze ładnie po sobie pozamiatali. Niemal równocześnie zostały zamontowane betonowe płyty, do wysokości ponad dwa metry. Teraz poczuliśmy się w pełni swobodnie i bezpiecznie. Nikt z zewnątrz nie mógł nas obserwować, podglądać.

Byliśmy niekwestionowanymi panami naszego małego świata. Do kompletu – zainstalowaliśmy urządzenia alarmowe. Zrobiliśmy wszystko, żeby uchronić się od niebezpieczeństwa, kłopotów. W końcu na to zasłużyliśmy swoją solidną pracą. Nieraz też płaciliśmy strachem, nerwami.

Teraz w firmie mniej myślałem – co w domu... Noce przesyiałem spokojnie. Nie żalowałem wydanych pieniędzy. Zresztą – po to się zarabia, żeby godziwie żyć.

Ale – pewnego późnego wieczora – stała się rzecz niesłychana. W chwilę po wyjechaniu ze stacji benzynowej musiałem się zatrzymać w nietypowych okolicznościach.

Stanisław Turowski

Przede mną, na drodze, nieoświetlony, ustawiony prawie w poprzek samochód osobowy. Kobieta i mężczyzna rozpaczliwie wymachiwali rękami jakby wzywając pomocy. Nie miałem ani czasu myśleć „analitycznie”, ani warunków, żeby „na siłę” przejechać obok.

Tuż przed wcisnąłem hamulec. Faceci, z dwu stron, z bronią wycelowaną we mnie. Nie zdążyłem wyjąć pistoletu. Cztery kule – jak się później dowiedziałem – ubezwłasnowolniły mnie. W szpitalu ze śmiercią walczyłem przez tydzień. Trafiłem do świetnej kliniki. Niewiele pamiętam. Żona chciała sprzedać wszystko, żeby mnie lekarze ocalili. Wszelki ratunek – na nic. Musiałem odejść.

W zasadzie tylko dlatego, że owego feralnego dnia w drogę nie zabrałem ze sobą swoich „obronnych” groźnych psów, nie zabrałem betonowego płotu. Umierałem, w istocie, prawie jak kloszard.

Interesy teraz prowadzi żona z synem i zięciem. Firma już nie jest rozwojowa. Warowną posesję, z której byłem tak dumny, musieli sprzedać. Żona z synem, synową i wnuczkiem mieszka w skromnym domku na przedmieściu. Posesja ogrodzona „kratowanym” drewnem, jak u sąsiadów.

Ja z góry patrzę, jak sobie moi radzą. Pomagać nam sugestią – tym na dole – nie wolno. Paczek wysyłać, listów, też nie. Tylko czekam na nich.

U nas, w górze, wszyscy żyjemy, mieszkamy w takich samych warunkach, na równych prawach. Przy wejściu do naszego wiecznego kraju wszelkie ziemskie przywileje i bogactwa trzeba zostawić. Lecz – niczego nam nie brakuje. Jesteśmy szczęśliwi.

